Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII — Warszawa, 15 kwietnia 1956 r. — Nr 15 (541)

BIBLIOTEKA UNIWERSYTETU MORSKIEGO W GDAŃSKU

Uniwersytet Gdański Biblioteka

cW 9013

W VI ROCZNICĘ POROZUMIENIA

NIE wszystkie wydarzenia o znaczeniu przełomowym dla współżycia międzyludzkiego narzucają się świadomości człowieka z mocą oczywistości. Najczęściej potrzeba poważnego dystansu czasu, potrzeba historycznej perspektywy, aby takim faktom przyznano należną im rangę. Ta niemal powszechna reguła nie odnosi się do Porozumienia między Kościołem a Państwem Ludowym zawartego przed sześciu laty, w dniu 14 kwietnia 1950 roku. Ściślej mówiąc, reguła ta nie ma zastosowania w ocenie doniosłości Porozumienia dokonywanej przez katolików rozumiejących społeczną słuszność i historyczną nieodwracalność socjalistycznych przemian ustrojowych. Zwłaszcza ludzie skupieni wokół paxowego ośrodka ideowego z całą ostrością i wyrazistością dostrzegali niezwykłą skalę wydarzenia. Przyczyny tego sposobu widzenia były dość proste. Wynikały z faktu czynnego uczestnictwa w procesie, który Porozumienie wieńczyło. Przypadła nam w udziale słuszna satysfakcja nie tylko świadków, lecz i współbudowniczych.

Jednak myliłby się, kto by sądził że tamte kwietniowe dni były dla kogokolwiek z bojowników o Porozumienie okazją do kontemplacji wywalczonego sukcesu. Ten znaczący akt witany był przez naszą publicystykę przede wszystkim jako nowe, zwielokrotnione zobowiązanie. Precedens Porozumienia uwierzytelniał konkretną możliwość rozwiązywania problemu twórczego współistnienia odmiennych światopoglądów w nadchodzącej, socjalistycznej epoce. Przekraczał zatem swą funkcją granice jednego Państwa. Lecz możliwość nie równa się przecież spełnieniu. Trzeba było wówczas i trzeba nadal wiele odważnego i roztropnego wysiłku, ażeby poprzez budowę szerokiego i świadomego zaplecza społecznego dla idei Porozumienia przełamać wszystkie trudności piętrzące się na drodze jej pełnej realizacji. Sześć minionych lat dostatecznie gorzko uczy nas, że trudności te są niemałe. Wielu z nich nie udało się nam jeszcze przezwyciężyć, wiele z nich jak najboleśniejszy cień nadal uwiera świadomość i sumienie ludzi wierzących. Ale istnieją również powody do usprawiedliwionej satysfakcji. Najważniejszy z nich to fakt wytyczenia przez Porozumienie między Kościołem a państwem socjalistycznym ram dla ideologii ruchu społecznie postępowego katolików.

Zasada wieloświatopoglądowości w systemie socjalistycznym, o którą walczy nasz ruch, jest nie tylko, jak to wykazało paroletnie doświadczenie, niezbędnym czynnikiem osiągania właściwych warunków dla apostolskiej misji Kościoła, lecz jednocześnie stanowi konstytutywny element pełnej humanizacji socjalistycznego budownictwa. Zasada wieloświatopoglądowości, będąca wyrazem najbardziej masowych potrzeb zarówno aktywnych budowniczych, jak i potencjalnych sojuszników ustroju sprawiedliwości społecznej z coraz większą oczywistością staje się przez fakt jej respektowania lub omijania wskaźnikiem wzrostu, względnie ograniczenia zakresu swobód humanistycznych w socjalizmie.

Czyż trzeba dodawać, że także w świetle nauk płynących z ostatnich procesów wewnętrzno - socjalistycznych, utrzymanie i rozwój idei obustronnie wiążącego Porozumienia jest najpilniejszym zobowiązaniem społecznym zarówno dla wszystkich katolików polskich, jak i dla tych obywateli niewierzących, którzy w prawie wyboru postawy światopoglądowej widzą jeden z najdumniejszych sprawdzianów humanistyczności socjalizmu niosącego społeczne wyzwolenie człowiekowi i ludzkości.

M. R.

SŁAWOMIR BŁAUT

PRZED ROZLEGŁYM OBSZAREM SPORU

MÓWIMY dzisiaj o wolności i prawdzie. O największym z ludzkich praw, jakie wypełnić ma socjalizm, i najwyższym z ludzkich pragnień. Docieranie do prawdy — w pełnej i sprawiedliwej ocenie rewolucji. Poszerzanie wolności — w ogólnej demokratyzacji życia społecznego, w całości obecnych przemian wewnętrzno - socjalistycznych. Mówimy o wolności i prawdzie, bo takie są imiona naszych istotnych problemów, istotnych problemów współczesnego świata: współdziałania i rywalizacji, porozumienia i walki. Bo takie są perspektywy i gwarancje zwycięskiej ekspansji ideowej socjalizmu.

Te sprawy są przedmiotem powszechnego zaangażowania umysłów, serc i sumień ludzi budujących socjalizm, te sprawy pasjonują masy.

We wszystkich chyba dziedzinach życia społecznego dokonuje się teraz oddzielanie postępu rewolucji od jej zafałszowań. Taką próbę podjęto też na ostatniej Sesji Rady Kultury i Sztuki. Chodzi o to, by doprowadzić ją do końca.

PERSPEKTYWY WSPÓŁISTNIENIA

BARDZO rzadko zastanawiano się u nas, jakie konsekwencje dla naszej kultury, dla naszej twórczości wynikają z polityki współistnienia, jaką postać ma przyjąć w dziedzinie kultury teza o koegzystencji. Tę problematykę widziano u nas nader jednostronnie, wyłącznie od strony konsumpcyjnej, tzn. ograniczano się do pytania, co ze współczesnej kultury Zachodu możemy wchłonąć z pożytkiem dla siebie, jakie jej wartości mogą okazać się nam pomocne. Nie chciałbym bagatelizować tego pytania, tym bardziej że wskutek wyjątkowego niedołęstwa i bezmyślności naszej polityki wydawniczej akcja udostępniania nam wartości kulturalnych Zachodu jest niemal nie ruszona.

W owym czasie, gdy wmawiano nam uparcie, że we współczesnej literaturze światowej nie ma nic godnego poznania poza książkami André Stila, Jacka Lindsaya czy Howarda Fasta i gdy tworzono u nas getta intelektualne — było wydawnictwo, które w miarę swych możliwości przełamywało ograniczenia ówczesnej polityki kulturalnej, dając czytelnikowi polskiemu szereg wybitnych dzieł współczesnych katolickich — bo to było katolickie wydawnictwo — pisarzy zachodnich. Warto tu przypomnieć niektóre reakcje prasy literackiej i wytwarzaną przez nią atmosferę politycznej podejrzliwości. Gdy ukazała się „Chwała córy krolewskiej", obłędne socjologizowanie doprowadziło recenzenta „Nowej Kultury", był nim bodajże Ludwik Grzeniewski, do wniosku, że ta urocza książka napisana została i wydana u nas na chwałę... kapitalizmu. Gdzieś w roku 1953 pożyteczną robotę wydawniczą „Paxu" jako „dziwny przemyt" zadenuncjowało „Zycie Literackie" piórem Lecha Budreckiego, dziś już jawnego wielbiciela i propagatora literatury amerykańskiej. Obowiązywały wtedy szczególne obyczaje — związane z utwierdzaniem podziału na literackie getto marksistowskie i getto katolickie, przez to pierwsze starannie podtrzymywane — takie np., że książek pisarza katolickiego z reguły nie dostrzegano, że jeśli je dostrzegano, to po to tylko, żeby zarzucić mu polityczną wrogość, że nigdy pisarzowi czy publicyście katolickiemu racji nie przyznawano, bo jej przyznać nie wypadało, bo byłoby to kardynalne wykroczenie przeciw czujności i czystości ideologicznej. Te obyczaje przetrwały do niedawna. Oto w roku ubiegłym znany publicysta złożył redakcji jednego z centralnych pism kulturalnych artykuł o architekturze, w którym powoływał się na rzecz drukowaną w „Dziś i Jutro". Redakcja artykuł zamieściła, ale - - żeby było *comme il faut* — nie porozumiewając się z autorem powoływanie się na „Dziś i Jutro" skrzętnie usunęła. Wiosną ubiegłego roku byłem w Związku Literatów Polskich na dyskusji, w której omawiano problemy koegzystencji. Jeden z mówców, znawca literatury niemieckiej, narzekał, że pisarze Niemiec Zachodnich są w Polsce zupełnie nieznani, że przez dziesięć lat nie wydaliśmy ani jednej ich książki. Nieprawda. Wydano — wprawdzie dwie tylko — „Oskarżenie" Schneidera i „Córkę Farinaty" G. von le Fort, ale wydano je w „Paxie". I znawca literatury niemieckiej o tych faktach nie wspomniał. Niewiedza? Asekuranctwo? Zła wola? Prawda, być może, leży po środku.

Przytoczyłem tu fakty nie najważniejsze i nie najbardziej drastyczne, ale sądzę, że wskazują one, jak mozolna jest droga do przywrócenia rzeczywistości należnego jej szacunku i usuwania przeciwnych jej szablonów intelektualnych, a jednocześnie — jak niewspółmiernie bardziej pomyślne warunki mają wydawnictwa obecnie. A jednak tej tak ważnej dla naszej kultury akcji ruszyć z miejsca nie potrafią. Jeśli się ją rusza, to w tak absurdalny sposób, że wydano — w tempie tak imponującym, że staje się to jeszcze jedną wydawniczą zagadką — trzeciorzędną powieść Monod, „Whisky królowej", a chociażby o zapowiadanej jeszcze w roku 1948 książce Camusa „L'étranger" nawet się nie wspomina, nie mówiąc już o rzeczach bliższych nam w czasie („Czas umarłych" Gascara to kropla w morzu potrzeb.) Od roku trąbi się o dużym wyborze z Conrada — na razie ukazało się tylko chudziutkie „Szaleństwo Almayera". Na co tu czekać, u licha, skoro przekłady gotowe są od lat kilkunastu. Czytelnik woła o Hemingwaya, Caldwella, Steinbecka, a częstuje się go antologią postępowej noweli amerykańskiej, której specjalnie ciekaw nie jest. I tak w kółko. Nie ma żadnej hierarchii potrzeb ani żadnej hierarchii ważności, nie ma śmiałej inicjatywy, nie ma rozsądnego planu. Bo plany perspektywiczne wydawnictw mają tę cechę, że w druku ukazują się najczęściej właśnie książki niezaplanowane, a poza tym tej roboty, którą zawalano przez dziesięć lat, nie można rozkładać na następne dziesięciolecia. Nasza znajomość kultury zachodniej jest znikoma, co sprzyjało uwstecznianiu artystycznemu naszej twórczości i uwstecznianiu gustów odbiorców. Dzisiaj nie podobna myśleć o wydobyciu się z impasu bez radykalnej zmiany sytuacji. Wyzbywamy się megalomanii i samozadowolenia, wyzbądźmy się niewiedzy, nieuctwa, wyrwijmy się z zaściankowej ciasnoty spojrzenia na sztukę.

JEST jednak ważniejszy aspekt koegzystencji, starannie dotąd omijany, bo wstydliwy. Chodzi tu — co okazyjnie podniesiono na XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki — o pojęcie współistnienia jako współzawodnictwa, rywalizacji dwu systemów wartości humanistycznych, wartości społeczno - moralnych, jako wymiany dóbr kulturalnych, jako formy ekspansji ideowej socjalizmu. Sprawę omijano, bo jest dla naszej twórczości wstydliwa. Jeszcze jeden efekt idealistycznego myślenia, przemilczania faktów nieprzewidzianych czy niewygodnych. Ale dłużej milczeć nie można, bo szkodzi to naszej sprawie, socjalistycznym ideom, któreśmy wybrali i którym chcemy służyć najlepiej.

Lata ubiegłe zubożyły i wyjałowiły naszą twórczość. Jeśli dziś zapytamy, z czym moglibyśmy się pokazać za granicą, co mogłoby reprezentować naszą kulturę, nasze wartości ideowe — trudno o odpowiedź. To, co przypadkowo zresztą — głównie na festiwalach teatralnych i filmowych — pokazaliśmy zagranicy, musiało tam być przyjęte z rozczarowaniem. Nie tylko dlatego, że nie stać nas było na artystyczne rewelacje, ale że w całej naszej sztuce tak skąpe zawarło się doświadczenie społeczne, że nie umiała ona w sposób komunikatywny, tj. sugestywny i zrozumiały dla współczesnych, przekazać tego, co jest nowością i siłą rewolucji „Obywatelami" świata nie podbijemy. Nie podbijemy świata przedszkolem malarskim z Arsenału, ale to już stwarza realną możliwość wzrostu, samorzutności, wyjścia ze starzyzny i konformizmu. Problem rewolucyjności i nowoczesności jest — jak mówiono na ostatniej Radzie Kultury — centralnym zagadnieniem współczesnej kultury socjalistycznej. Bo prawdziwie rewolucyjna sztuka musi być nowoczesna. I tu potrzeba nam szerokiej dyskusji ideowej o perspektywach i możliwościach rozwoju naszej sztuki. Ideowej, tj. takiej, która nie lęknie się niemiłej czy niewygodnej prawdy. Znajomość prawdy, choćby najbardziej dla nas niepomyślnej, lepsza jest niźli niewiedza — jak mówi Kartezjusz. Trzeba pokazać, że socjalizm stwarza warunki optymalne dla pełnego rozwoju człowieka i zaspokajania jego potrzeb. Trzeba pokazać, że stwarza możliwości nieograniczonego tworzenia wartości humanistycznych wypełniania idei rewolucji konkretnymi treściami kulturowymi i poszerzania tych idei. Te wartości i te treści musi pokazać nasza sztuka. Musi podjąć dialog z ideami humanistycznymi Zachodu. W tej perspektywie mówiono na Radzie Kultury o zagadnieniu wolności w socjalizmie. Zrobiliśmy wiele w dziele budowy podstaw materialnych socjalizmu, natomiast zaspokajanie potrzeb duchownych człowieka i poszerzanie wolności jest zadaniem, przed którym stoi teraz nasza kultura. Aktualne przemiany wewnętrzno - socjalistyczne podnoszą atrakcyjność naszego ustroju, podnoszą atrakcyjność naszej kultury — oczywiście jeśli chodzi o pomnożenie i poszerzenie istniejących już możliwości tworzenia, a więc awansu intelektualnego i estetycznego naszej sztuki. Co możemy przeciwstawić sztuce Zachodu, w jaki sposób już teraz możemy zjednywać tamtych ludzi dla idei socjalizmu? Nasza sztuka winna jest własnemu narodowi i całemu współczesnemu światu prawdę o naszej rewolucji. Tej prawdy lękać się nie może. Takiego dzieła jeszcze nie mamy. Ale możemy już teraz pokazać światu książki Gołubiewa, Rudnickiego, Malewskiej, Andrzejewskiego, które reprezentują różne postawy pisarskie i mogą być argumentem, że socjalizm nie tylko obiecuje człowiekowi najwyższy ze znanych ideałów wolności.

KIEDY PROFESOR ZACZYNA BYC IDEALISTĄ

W NIEDAWNYM artykule „O niektórych opóźnieniach krytyki" („Nowa Kultura", nr. 14) Stefan Żółkiewski powiada, że „proces wiązania naszych środowisk twórczych z narodem, z masami, ich walką nie był zakończony i nie jest". Raz jeszcze poczęstowano nas czymś, co — mówiąc najdelikatniej — jest tylko pozorem prawdy.

W ostatniej wojnie, we wspólnej walce całego narodu i artysta, i odbiorca przeszli przez to samo doświadczenie. Sztuka, która z tego wspólnego doświadczenia wyrosła, umiała trafić, umiała przemówić. Człowiek odczuwał potrzebę utrwalenia tego, co widział, i tego, co przeżył. Szukał tego w sztuce. I na ogół znajdował. Powstała wielka szansa zbliżenia i porozumienia, wielka szansa wychowywania przez sztukę.

Ale później drogi i doświadczenia się rozeszły, a tę jedyną szansę zatracono. Na te same sprawy patrzył pisarz i patrzył czytelnik, ale z dwóch przeciwnych krańców. Z chwilą zamknięcia kręgu wojny ich dialog ustał. Już się nie rozumieli. Żyli w dwu różnych światach — inne mieli przeżycia, pragnienia, potrzeby, niepokoje, inny stosunek do rzeczywistości. Ścianą, jaka te dwa światy oddzielała, była sztuka. Topniał kapitał zaufania. Środowiska twórcze coraz bardziej izolowały się od mas. Im bardziej, tym głośniej o związku z masami mówiono. Sztuka obojętniała na istotne problemy swego czasu i istotne potrzeby swego narodu. Zanikały w niej ambicje poznawania życia. Sztuka na pytania dręczące

(Dokończenie na str. 6)

Wybraliśmy wolność

ZYGMUNT LICHNIAK

ZYJEMY ostatnio w okresie burzliwego, lecz — jak sądzę — twórczego rewidowania wielu naszych przemyśleń na temat kultury socjalistycznej, czy — mówiąc precyzyjniej — kultury narodowej powstającej w okresie budownictwa socjalizmu. Rewizja ta — jak wiemy — wynika z potrzeby rozsądnego naprawiania błędów, spowodowanych nieprawidłowościami czy wynaturzeniami rozwoju samego socjalizmu. W atmosferze zrozumiałego podniecenia dyskusji i sporów o właściwą ocenę tego, co za nami, i tego, co przed nami, szczególnie atrakcyjna wydaje się dla sporej części dyskutantów postawa gorliwych syntetyków, potępiających w czambuł takie czy owakie błędy. Czambulistów w Polsce było zawsze wielu. Namnożyło ich się zwłaszcza ostatnio tylu, że jedyną możliwością są występy chóralne. Chociaż byłem i jestem, a — da Bóg — to i pozostanę — zwolennikiem ostrych sformułowań krytycznych i możliwie aktualnych uogólnień, wydaje mi się, że cechą nie asekurantów, lecz ludzi rozsądnych powinna stać się właśnie dzisiaj powściągliwość w syntetyzowaniu naszych doświadczeń historycznych i ideologicznych przemyśleń. Nie namawiam do asekuranckiego aptekarstwa. Broń Boże! Wydaje mi się jednak, że w wielu dyskusjach ostatniego okresu większą swobodę dyskusyjną wykorzystuje się także dla zaznania smaku swobody absolutnej, to znaczy: dla mówienia rzeczy nierozsądnych, manifestujących raczej skłonności ku brykaniu wśród zagadnień naszego życia kulturalnego niż ku borykaniu się z jego istotnymi problemami.

Uważam, że byłoby rzeczą właściwszą stwierdzić, iż wewnętrzno-socjalistyczne procesy przeobrażeniowe są sprawą zbyt poważną, zbyt mocno naszą, by ryzykować już w tej chwili łatwe uogólnienia, czambulskie oceny i werdykty, za którymi stoi częściej psychologia szoku niż obiektywna ocena przebiegów historycznych i uwarunkowanych nimi procesów kulturotwórczych. Powtarzam jeszcze raz — i mam nadzieję, że przynajmniej w tym zakresie mogę liczyć na zaliczenie mi moich paroletnich wysiłków publicystycznych jako dowodu pełnej szczerości tego, co powiem — nie propaguję asekuranctwa, lecz proponuję większy umiar w syntetycznych zapędach, większą roztropność w formułowaniu ocen. Właśnie teraz, kiedy istnieje obiektywnie większa możliwość publicznego mówienia prawdy i... publicznego mówienia głupstw. Nie chodzi przecież o to, byśmy dekonspirując Faulów faulowali się wzajemnie, lecz o to, byśmy z dokonujących się wokół nas i w nas przeobrażeń, wydobyli jak najwięcej sił, organizujących naszą przyszłość i przyszłość świata, przyszłość kultury, którą chcemy tworzyć.

Nie wiem, czy ktoś skorzysta z moich pobożnych życzeń, w każdym razie skorzystam z nich ja, by stwierdzić, że toczącej się dyskusji nie uważam jeszcze za płaszczyznę jakiegoś Sądu Ostatecznego, wymierzającego sprawiedliwość minionemu okresowi i ustalającego, kto ma stanąć po lewicy, a kto po prawicy. Uważam tę dyskusję za początek rewizji i weryfikacji słusznych i niesłusznych przejawów życia i rozwoju kultury w ramach i perspektywach ustroju socjalistycznego. Uważam, że we wstępnej fazie tego procesu rozsądniejszym zamierzeniem jest analiza wielu zagadnień pozornie szczegółowych niż piłackie umywanie rąk lub ferowanie rzekomo nieodwołalnych wyroków. Tak oceniając sytuację, nie zamierzam zwiększyć chóru czambulistów, lecz — na później rezerwując sobie możliwość przyłączenia się do tzw. historycznej syntezy — chciałbym poruszyć jeden dla mnie bardzo konkretny problem, który chociaż jest problemem ogólno ideologicznym posiada — jak sądzę w unerwionych przecież ideologicznie sprawach kultury bardzo istotne znaczenie.

JEST to problem wolności. Nie jakiejś wolności w ogóle, wolności *in abstracto*, ale tej konkretnej, historycznie określonej warunkami Polski Ludowej, budującej socjalizm, warunkami świata walczącego o swoje coraz mądrzejsze, coraz bardziej ludzkie, pokojowe istnienie. Wolności, która ma stanowić jedną z cech, jedną z sił, wreszcie jedną z humanistycznych, jak najgłębiej rozumianych atrakcji tworzonej przez nas kultury.

W smutnej i zapaćkanej hipokryzją frazeologii politycznej pewnych środowisk, istnieje zdyskredytowany swoją historią frazes, który brzmi: „Wybrałem wolność". Wiemy, ile w nim obiektywnego kłamstwa. Domyśleniach jako dyktatura proletariatu, walka klas, wyzwolenie ludu, dobro narodu, godność człowieka.

Jesteśmy chyba wszyscy zgodni w przekonaniu, że anarchia stanowi karykaturę wolności, że mądra wolność, wolność, która sprzyja człowiekowi, sprzyja kulturze, zasadza się na dobrowolnym poddaniu się koniecznościom rozwojowym, prawom gwarantującym ciągły wzrost, ciągłą lepszość. Tu chyba nie ma różnic. Wewnętrzno - socjalistyczne, wewnętrzno - rewolucyjne różnice w pojmowaniu wolności zaczynają i sprowadzają się do różnic w rozumieniu konieczności, które warunkują i uzasadniają mądrą wolność. Według mojego najgłębszego przekonania w tych różnicach tkwi ziarno niezgody, z tych różnic kiełkują błędy, z niewłaściwego rozumienia konieczności wynika koncepcja wolności chromej, wolności jednookiej, wolności, która miała być tlenem, a staje się duchotą, miała być taktem, a czasami wynaturza się w wędzidło. Na odczuwanie tych spraw nie mają monopolu środowiska artystyczne, ale w tych środowiskach jako bardziej uwrażliwionych (czasami także rozhisteryzowanych) sprawy te nabierają większej wyrazistości.

Nie zamierzam rozwijać postawionego tu problemu poprzez wywody polemiczne, które — chociaż uatrakcyjniają przebieg rozumowania — prowadzą do spłyceń personalnych. Postaram się w ogromnym skrócie ukonkretnić i uzupełnić swoje stwierdzenie ogólne raczej w formie postulatywnej, zapewniając — tymczasem „na słowo honoru" — że mimo pozornie ogólnofilozoficznego czy — jak kto chce — pseudofilozoficznego charakteru uwagi te — według mojego pomyślunku — są jak najściślej związane z kon-

(Dokończenie na str. 6)

CZESŁAW OSTAŃKOWICZ

OŚWIĘCIM 1940 — 1945 R.

RAPORT

z bitwy pod krematorium

I

MIAŁY obozy swoich znakomitych nieraz pisarzy martyrologii. Nie miały, niestety, kronikarzy walki. Kiedy dla Francuzów Romainville czy Mauthausen, dla Niemców Buchenwald czy Dachau, dla Belgów Brendock są nazwami miejsc stoczonej kampanii — dla nas Oświęcim jest wciąż jeszcze tylko wielkim krematorium. Nałkowska, Borowski, Szmaglewska, Kossak - Szczucka, Żywulska, Andrzejewski, Morcinek dali światu książki - oskarżenia, bardzo potrzebne w okresie procesów o ludobójstwo i wiernie opisujące kombinat kaźni i męczeństwa. U czytelnika wzbudzać będą one ludzki żal, ale nie mogą zrodzić uczuć należnych walczącym. Ileż lat można rozpaczać po zmarłym? Rok, dwa, pięć. Na szacunku dla poległych w zwycięskim boju wychowują się całe pokolenia.

Teraz, kiedy pisze się od nowa historię Polski Podziemnej, trzeba wydobyć z niepamięci epizody lagrowych potyczek, sięgnąć do prywatnych zbiorów po dokumenty, pamiątki, fotografie. Przedstawiając to wszystko spisującym dzieje naszych, lagrowych zmagań z faszyzmem, trzeba w jednakowym stopniu uczulić się na prostowanie fałszów, jak i na przemilczanie prawd.

BEZ historii ruchu oporu Oświęcimia, Buchenwaldu, Belsen, Mauthausen, Neugamme i wszystkich lagrów hitlerowskich Niemiec — nie ma prawdziwego obrazu walki, jaka toczyła się w latach 1939 — 1945. Nie mówiąc nic o konspiracji obozowej, trzeba by bowiem przyjąć za prawdę oczywisty fałsz, że żołnierz ZWZ, AK, AL po aresztowaniu i wsadzeniu za druty wyrzekał się walki, rezygnował z ostatecznego zwycięstwa, stawał się dezerterem z armii podziemnej. Że załamywał się i upadlał w tym terrorze, kapitulował po to, by przetrwać, by ratować życie. A tak nie było. Obozowa konspiracja była logicznym przedłużeniem frontu istniejącego poza drutami. Trwała nadal jako realna, bojowa siła. Walczyła w warunkach nieznanych w historii wojen. Unieszkodliwiała poważne siły SS zaangażowane w tej walce. Zadawała faszyzmowi ciosy na miarę swych sił.

Wszystkie międzynarodowe zjazdy kombatanckie przyznawały obozowej konspiracji Polaków największy wkład w dzieło organizacji międzynarodowego ruchu oporu. Podkreślono jej powszechność, szeroki zasięg społeczny, bezprzykładność bohaterstwa. My sami umniejszamy swój udział w zwycięstwie. Skracamy krąg naszej walki właśnie o ten odcinek, na którym dominowaliśmy w sztabach, i płaciliśmy największymi ofiarami w pierwszych liniach boju.

Jest to rozrzutność ponad czyjekolwiek prawo. Bezprzykładne marnotrawstwo tradycji, która winna służyć pedagogom wychowującym pokolenia dorastające i nie wiem ile jeszcze następnych.

Pamiętając o męczeństwie milionów „likwidowanych" przez faszyzm drogami prowadzącymi przez komory gazowe, trzeba wybić rolę przodującej grupy więźniarskiej skupionej w ruchu oporu.

KORZYSTAJĄC z praw pisarza, któremu dane było być uczestnikiem bojów i wspólnego żalu, obozowym towarzyszem — podejmuję próbę przypomnienia naszej walki.

Od serdeczności, z jaką przeprowadzi się rehabilitację nieznanych krajowi żołnierzy z obozów koncentracyjnych, od rzetelności rejestracji ich kombatanckich zasług i praw — zależy niezwykle dużo. Byłych więźniów politycznych i ich rodzin (również członków b. Związku Więźniów Politycznych) jest w Polsce ponad milion. Ten milion obywateli zdających egzamin patriotyzmu w ogniu walki z faszyzmem trzeba zauważyć, a po naprawieniu wyrządzonej im krzywdy zapomnienia — reaktywować.

ZACZNĘ od przekreślenia — prowokacyjnych — lub wynikających z nieznajomości tamtych spraw — twierdzeń o antagonistycznych różnicach dzielących rzekomo poszczególne ugrupowania obozowego ruchu oporu. Nie dzieliły ich nigdy cele walki. Były dla wszystkich te same: zwycięstwo nad faszyzmem i wywalczenie wolności. Różny bywał tylko sposób walki, ale o tym nie decydowały wcale różnice polityczne. Jednakowe cele, choć różne okoliczności zmagań z wrogiem były np. w Oświęcimiu. Oświęcimiu komór gazowych, krematoriów, masowych egzekucji, a inne — w Buchenwaldzie, gdzie walczono sabotażem w fabrykach broni i części do V 1, w warsztatach dywizji pancernej SS. To samo różniło i łączyło członków więźniarskiej organizacji Belsen i Dachau. Są to sprawy mniej istotne, absorbujące co najwyżej sztaby obozowych organizacji, a nie szeregowego żołnierza. Sprawy taktyki, a nie ideologii.

Wszystkie komórki ruchu oporu były z reguły antyfaszystowskie, antywojenne, wieloświatopoglądowe. Widzieliśmy, jak w rezultacie bezpośredniego zetknięcia się z faszyzmem, w ogniu zmagań się z nim — budziła się międzynarodowa solidarność wszystkich antyfaszystów. Jak rodziła się demokracja. Jak ludzie z najbardziej prawicowego skrzydła dojrzewali do społecznej rewolucji, czasami niewidzianej przez nich wyraźnie, ale koniecznej, by przyszły świat był bardziej sprawiedliwy.

Kiedy podejmujemy trud, by od nowa krajowi przedstawiać walkę prowadzoną przez nas w obozach — trzeba o tych sprawach mówić głośno i jasno.

II

PODOBNIE jak ci, którzy dość krzywdy wyrządzili AL uważając, że żołnierską zasługę jej czynów można głosić jedynie przy równoczesnym pomniejszaniu AK, tak i „publicyści" tzw. „politycznej koniunktury" pokrzywdzili lewicową „Grupę Oświęcim", zrażając do niej wielotysięczne masy więźniarskie powiązane wspólnotą walki i przeżyć z organizacjami o ideologii ZWZ. A przecież „Grupa Oświęcim", grupa bojowa, grupa rzetelnych zasług, nie chciała zacierania prawdy o towarzyszach broni z innych oddziałów wojskowego podziemia.

Konspiracja oświęcimska zaczęła się 15 czerwca 1940 r. Do obozu przybył pierwszy transport Polaków — młodzież ujęta przez Niemców przy próbie przekradania się przez granicę, spiesząca pod sztandary formujących się na obcych ziemiach polskich oddziałów, i oficerowie zawodowi, którzy nie poszli do oflagów, meldując się w sztabach podziemnego frontu walki w ZWZ. Wraz z nimi przywieziono aresztowanych za swoją przedwojenną aktywność polityczną inteligentów z Warszawy, Krakowa i Śląska. W pierwszych miesiącach Oświęcimia nie przywożono tu ludzi z „łapanek". Każdy nowy transport był więc transportem nie tylko więźniów, ale żołnierzy obozowego podziemia, którego doświadczenia konspiracyjne pogłębiały się w miarę przybywania działaczy PPS. Tradycja współpracy oficerów z działaczami robotniczego aktywu przetrwała w grupie wojskowej aż do ostatnich chwil niewoli. W roku 1942 wyrosła druga, pracująca na podobnych zasadach co ZWZ-owska, bojowa grupa AK. Trzecia realna siła to zmontowana w latach 1943—44 „Grupa Oświęcim" współpracująca z ZWZ, bazująca na działaczach lewicy, AL, grup socjalistycznych i PPR-owskich, oraz na tych lewicowcach, którzy mieli poza sobą staż oświęcimskiej konspiracji.

W miarę rozrastania się Oświęcimia i powstawania autonomicznych obozów Stammlager, Birkenau, Frauenlager, Buna - Monowice i wielu mniejszych komenderówek — wzrosły zadania i siły organizacji. Nie zadowalano się już kadrowym rozpracowywaniem grup bojowych na wypadek desantu, akcji zewnętrznej lub buntu więźniów. Teraz opracowano najszczegółowiej zadania poszczególnych jednostek bojowych, czyniono starania o broń, bez której nie ma walki; zorganizowano wywiad wojskowy, powiązano się z krajem przez partyzantki i łączników AK; zorganizowano kontrterror wobec Politische Abteilung i jego konfidentów, ułatwiano ucieczki do więźniarskiej partyzantki, walczącej w pobliżu obozu, zmuszano Niemców do wiązania coraz większych sił wojskowych, koniecznych do opanowania lagru — sił bardzo potrzebnych na froncie. Liczba żołnierzy SS i Wehrmachtu stanowiącej załogę KL Auschwitz wynosiła ponad 4.000 żołnierzy i oficerów, oprócz zmiennych w swych składach oddziałów artylerii, saperów i policji (raport z dnia 28.VIII. 1944 wykradziony z kancelarii dowództwa SS opiewa 3.630 żołnierzy i 126 oficerów pełniących służbę w tym dniu).

Oświęcim — linia kolejowa do krematorium

W fabryce Manowice, należącej do Farbenindustrie i produkującej materiały wybuchowe, pracowało wielu więźniów w zorganizowanych grupach obozu. W rezultacie — do obozu przynoszono skrzynki granatów i trotyl. Broń szła do obozu różnymi drogami, dzięki współpracy organizacji ze śląskimi grupami konspiracyjnymi i na skutek pracy zrzuconego dla nawiązania kontaktu z obozem, oficera wojsk polskich w Anglii, porucznika „Urbana", pracującego z ramienia AK. Noże - bagnety wyrabiano w zatrudniających około 5.000 więźniów przyobozowych zakładach zbrojeniowych DAW. Mimo postrzelenia i ujęcia przez gestapo por. „Urbana", mimo powieszenia kilkudziesięciu bojowników z komando Buna-Manowice, broń stale przychodziła.

Wywiad wojskowy pracował nad rozszyfrowaniem planu wyniszczenia obozu, ustalał stan liczebny załogi i jej jakościowy skład. Zdobywane wiadomości przekazywano partyzantce, a za jej pośrednictwem do Krakowa i Warszawy. Część tego materiału otrzymywała zagranica. Już w roku 1941 ukazała się w Londynie książka Johna Evansa „The Nazi New Order in Poland" i „The German New Order in Poland", oraz szereg broszur opartych na tajnych raportach polskiego ruchu oporu. Piszą prawdę o Oświęcimiu gazety angielskie, amerykańskie, szwajcarskie, prasa emigracji francuskiej, czeskiej i polskiej i tajna prasa krajowa. Mimo rozstrzelania wielu podejrzanych pisarzy i dziennikarzy, więźniów Oświęcimia, ukazują się dalsze artykuły w prasie szwajcarskiej, w „Ogonioku", w „Prawdzie" i w kilkunastu dziennikach USA.

Tysiące paczek adresowanych imiennie do więźniów z podaniem ich numerów i bloków, które nadesłał genewski Czerwony Krzyż, nie pozostawiały już wątpliwości gestapo co do sprawności pracy konspiracyjnego wywiadu i jego kontaktów z wolnym światem. Ukoronowaniem tej akcji była wspólna deklaracja rządów Wielkiej Brytanii, USA i ZSRR, ujawniająca znajomość przygotowywanego z rozkazu Berlina planu likwidacji więźniów. Spowodowało to już nazajutrz oficjalne zapewnienia Hoessa, że żadne represje nie są przewidziane.

Próbę zorganizowania własnego nasłuchu, opłaconą śmiercią inżyniera Tołoczko, technika Kazimierczaka i kilku ich przyjaciół podjął z powodzeniem jeden z najstarszych więźniów Oświęcimia, J. Pilecki. Obóz znał sytuację polityczną i wojskową nie z głośników lagrowego radiowęzła, a z komunikatów walczącego świata.

Kilka udanych ucieczek stworzyło nowy problem dla oświęcimskiego garnizonu SS. Silna partyzantka złożona z byłych więźniów groziła atakiem na postenkette. Na spotkanie uciekających więźniów wychodził zbrojny sprzymierzeniec. W pościgu lała się już nie tylko więźniarska krew.

W bojowej akcji wypadu na Harmenzy, w nierównym boju z zasadzką SS, padło 12 więźniów-partyzantów z Szellerem i Kusiną. W boju osłonowym poległ działacz obozowej lewicy, ZWZ-owiec, Aleksander Jagiełło. Oficer artylerii Piasecki drogo sprzedał żyrie kładąc trzech wrogów, SS-mana i dwóch niemieckich kapów. Stefan Bartoszewski padł w akcji na barykadach powstańczej Warszawy, dokąd poszedł z rozkazu lagrowego podziemia. Lucek Nowakowski, goniec organizacji, padł w walce toczonej z pościgiem za uciekającą grupą. W czasie buntu Sonderkomando zginęło kilkudziesięciu więźniów kładąc w walce 23 SS-manów i kapów. W indywidualnej akcji odwetu padł kat krematoriów — Szillinger; ciężko ranny został postrach obozu (bity potem w Belsen) SS-man Emerich.

Ginęli nasi żołnierze. Padały sztaby. Rozstrzeliwano je co parę miesięcy i nie można w dzisiejszym wspomnieniu przemilczać nazwisk dowódców rozstrzelanych za służbę Polsce Podziemnej. Od salw plutonów egzekucyjnych zginęli pierwsi dowódcy obozowego ruchu oporu: płk. Stawarz, płk. Godlewski, płk. Karcz (dowódca ZWZ w Birkenau), płk. pilot Dziama. Powieszono śląskiego robotnika, dowódcę ZWZ, Bernarda Świerczynę. Zginęli działacze podziemia: Dubois, Malota, Mosdorf, łącznik AK „Lwowicz", por. „Piąty" a za odmowę skierowania do komór gazowych chorych Żydów, zagazowano wraz z nimi doktora Skorupkę. Padli za współpracę z polską grupą: komunista Ernst

(Dokończenie na str. 7)

Dobry Pasterz

NIE ulega wątpliwości, że najbardziej rozpowszechnionym wyobrażeniem Chrystusa ze współczesnych katolików jest Najświętsze Serce Jezusowe. Nabożeństwo do fizycznego, żywego Serca Jezusowego, jako naturalnego symbolu miłości Chrystusa ku Bogu i ludziom, stało się dla wielu wiernych kwintesencją chrześcijaństwa.

Wśród propagatorów odrodzenia liturgicznego dają się jednak słyszeć głosy, że mimo głębokiego uzasadnienia teologicznego, nabożeństwo to zbyt silnie akcentuje uczuciową stronę kultur, co może przeradzać się w drażniącą czułostkowość. Stąd wyłoniła się więc dążność, aby — zachowując całą cześć dla Najświętszego Serca Jezusowego i nie umniejszając doniosłości tego nabożeństwa w życiu wewnętrznym wiernych — obok obrazu Bożego Serca znaleźć miejsce dla głęboko tkwiącego w liturgii obrazu Dobrego Pasterza.

W zaraniu chrześcijaństwa i pierwszych wiekach jego zmagań był to obraz tak rozpowszechniony, jak dzisiaj krzyż. Dobrego Pasterza przedstawiano wówczas jako idealnego młodzieńca bez brody, stojącego na tle wiejskiego krajobrazu wśród trzody lub też częściej z owcą na barkach, ze skopkiem mleka u stóp. Czy to w katakumbach Rzymu, owych najstarszych cmentarzach chrześcijan, czy też na przedmiotach ich codziennego użytku, jak kubki, lampy i pierścienie, wszędzie napotyka się to właśnie wyobrażenie. Jest to najdawniejszy obraz Chrystusa, jaki namalowano i bez wątpienia w owych wiekach najpopularniejszy. Można zastanawiać się nad przyczynami tej popularności, dopatrywać się jej przyczyn w przywiązaniu chrześcijan do analogicznych wyobrażeń religijnych pogańskiego antyku, które towarzyszyły im od dzieciństwa w postaci herm przydrożnych. Można tłumaczyć tę popularność neutralnym charakterem wizerunku i łatwym do usprawiedliwienia wobec pogan umieszczeniem go na miejscach cmentarnych. Faktem jest, że nawet wśród skąpo zachowanej spuścizny sztuki religijnej starożytnego Kościoła obraz Dobrego Pasterza zajmuje zupełnie wyjątkowe i dominujące miejsce. A stąd prosty już wniosek, że i w życiu wewnętrznym pierwszych chrześcijan ten właśnie obraz miał swą głęboką i bardzo osobistą wymowę.

Głównym powodem rozpowszechnienia tego obrazu jest fakt, że jego twórcą jest sam Chrystus, który wielekroć nazywał Siebie „Dobrym Pasterzem". Możemy się domyślać że w swym dzieciństwie sam pasał owce w domu rodzinnym i wówczas nauczył się przeżywać radości i troski życia pasterskiego. Może sam tropił kiedyś zagubioną w stepie owcę, dobywał z cierniowego gąszczu, bronił przed wilkiem. A silne przeżycia tego okresu znalazły swój wyraz w plastycznych przypowieściach, któ-

rymi objaśniał swoje życiowe zadanie i swoją zbawczą misję.

W tych przypowieściach owcą Bożą jest człowiek, który przez grzech pierworodny wpadł w ciernie, zabłąkał się na pustyni. Dlatego Ojciec niebieski wysłał swego Syna jako pasterza na ziemię. On miał szukać owieczki, wołać ją, odnaleźć i wydobyć z krzaków cierniowych. Dokonał tego. Wybrał się w drogę ze swą laską pasterską, krzyżem. Stoczył walkę z szatanem, oddał swe życie za owce swoje i ocalił je.

Pełną głębokiego sensu dla chrześcijan nawróconych z pogaństwa miały słowa o „owcach, które nie są z tej owczarni", narodu wybranego. Jeszcze silniejszą osobistą wymowę miał obraz pasterza, który porzuca stado 99 owiec, by szukać jednej zbłąkanej. Trudno było w tym po ludzku nieroztropnym postępowaniu nie odczuć nadludzkiej, Bożej troski właśnie o zagubionego, zbłąkanego — siebie.

Dla starożytnych chrześcijan wyobrażenie Dobrego Pasterza było przeciwstawieniem ich chrztu i eucharystii, troskliwej opieki Chrystusa nad życiem i śmiercią każdego z nich, oraz Jego przewodnictwa w rajskiej szczęśliwości. Te same motywy wysuwa też liturgia okresu wielkanocnego, misterium śmierci i zmartwychwstania Zbawiciela. Nie może więc nas dziwić, że właśnie w tym okresie Kościół stawia nam przed oczy obraz bogaty wszechstronnością motywów, a zarazem poruszający wyrazistością swej plastyki.

Pierwszy szkic Dobrego Pasterza zarysował się już w jutrzni wielkanocnego poniedziałku:

„Zmartwychwstał Dobry Pasterz, który życie położył za swe owce i za swą trzodę zechciał umrzeć, alleluja".

Rozbudowuje ten motyw liturgia obecnej niedzieli. Słyszymy słowa Chrystusa: „Ja jestem dobrym pasterzem i życie swoje oddaję za owce swoje... znam swoje owce i one mnie znają... mam jeszcze inne owce i te muszę przyprowadzić i słuchać będą głosu mego".

Oto myśli przewodnie dzisiejszej ofiary mszalnej. W uroczystej procesji wchodzimy do kościoła, by w radosnym śpiewie sławić miłosierdzie Boże, najważniejszy przymiot Dobrego Pasterza, które zarówno w naturze, jak w swej łasce okazał stworzeniom: „Weselcie się sprawiedliwi w Panu... miłosierdzia Pańskiego pełna jest ziemia, alleluja".

Główna modlitwa mszalna, zwarta oracja rzymska jest radosną pochwałą dzieła Odkupienia, z którego wyszedł nowy, odrodzony świat: „Boże, który przez uniżenie się Syna swego podźwignąłeś świat upadły, napełniaj wiernych swoich nieustanną radością: aby ci, których wiecznej śmierci wyrwałeś, wiekuistego szczęścia dostąpili przez tegoż Jezusa Chrystusa". Oto liturgiczne zastosowanie obrazu Dobrego Pasterza: świat upadły to ludzkość i całe stworzenie, strącone przez grzech w nieszczęście i nędzę. Uniżeniem jest pełna upokorzeń i bólu śmierć krzyżowa Chrystusa. A treścią prośby — jest radość tutaj na ziemi i kiedyś wieczne wesele w niebie.

Naukę Kościoła o Dobrym Pasterzu wykłada sam Piotr apostoł, który z własnego, dotkliwego przeżycia poznał, czym jest Jego miłosierna opieka: „On sam w ciele swoim zaniósł grzechy nasze na krzyż, abyśmy pomarłszy dla grzechów żyli dla sprawiedliwości, gdyż przez mękę Jego, zostaliście uleczeni. Byliście bowiem jako owce błądzące, ale teraz powróciliście do pasterza i biskupa dusz waszych".

Po tym przygotowaniu przez apostoła sam Chrystus objaśnia swój obraz: „Ja jestem dobrym pasterzem. Daję życie za owce swoje". Spełnił to i wykonał przez swą śmierć, która była najwyższym sprawdzianem Jego miłości. On sam przecież powiedział: „Nikt nie ma większej miłości nad tę, która życie składa za swych przyjaciół". „Znam swoje owce i one mnie znają, tak jak zna mnie Ojciec i jak ja Go znam". Nie jest to zwykła przelotna znajomość. Dla Niego każda owca nie jest jedną z wielu: nie jest numerem, jak dla najemnika. Między każdą, poszczególną owcą i Dobrym Pasterzem istnieje intymny, osobisty związek polegający na dogłębnym poznaniu, wzajemnym zrozumieniu i bezgranicznym zaufaniu. Jedynym porównaniem dla tej bliskości jest łączność osób w Trójcy świętej. Chrystus przez swój czyn zbawczy nawiązał z nami ścisły związek, łaską chrztu udzielił nam życia Bożego. Dlatego też On podtrzymuje to życie karmiąc nas swoim prawdziwym Ciałem i Krwią, byśmy coraz głębiej wrastali w poznanie Jego i w Jego miłość, by coraz wyraźniej rysowało się w nas, w naszym charakterze i w naszym działaniu podobieństwo do Jezusa Chrystusa.

Wiersz ofiarny jest naszą odpowiedzią na pouczenie, które otrzymaliśmy od Chrystusa i Kościoła. Odpowiedzią nie słów, lecz ofiarnego czynu: „Boże, Boże, mój, o świcie szukam Ciebie; w imię Twoje podnoszę ręce swoje, alleluja". Jak owce zebrane wokół pasterza, gromadzimy się dokoła ołtarza, by przez kapłana złożyć w ofierze Chrystusa, prawdziwego baranka wielkanocnego, a razem z nim siebie samych, swe myśli i upodobania, swą pracę oraz miłość ku Bogu i bliźnim.

W czasie Przeistoczenia staje się Dobry Pasterz osobiście i istotnie obecny na ołtarzu. Dokonuje się to, co zapowiadała modlitwa nad darami ofiarnymi: „co się w liturgicznym misterium dokonuje, spełnia się w jego nadprzyrodzonej mocy". Wypełniają się słowa Chrystusa: „Znam swoje owce". Znajomość pełna skutecznej łaski i życiodajnej miłości; potok zmiłowania Bożego, Jego łask i nadprzyrodzonej mocy.

Oto garść refleksji, które z woli Kościoła mają nam wraz z obrazem Dobrego Pasterza towarzyszyć w trzecim tygodniu okresu wielkanocnego. Wydaje się, że Jego obraz, najstarsze w dziejach wyobrażenie Chrystusa, wszechstronnie, a zarazem plastycznie przedstawiające osobę i działalność Zbawiciela, winien więcej miejsca zająć nie tylko we współczesnej, chrześcijańskiej sztuce, ale przede wszystkim w naszym wewnętrznym życiu.

MEDIATOR

Bronisławie i Mieczysławowi

KURZYNOM

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci Ich Syna składa

Zespół Redakcyjny „Dziś i Jutro"

ANDRZEJ MICEWSKI

O ARMII KRAJOWEJ wczoraj i dziś

PRÓBA rewizji wielu dziedzin polskiego życia narodowego w latach powojennych, dokonywana w szerokiej dyskusji prasowej, nie ominęła także sprawy Armii Krajowej. Inicjatywa ze wszech miar słuszna, ale też trzeba podkreślić, że temat ów wymaga powagi i umiaru w ujęciu. W naszych tygodnikach wytknięto błędy propagandowe, popełnione w pierwszych latach powojennych wobec żołnierzy Armii Krajowej. Zdecydowanie potępiono niewieszcze inwektywy w rodzaju: „AK — zaplute karzeł reakcji", które miotano lekkomyślnie wobec chłopców, niedawno oddających w najlepszej wierze swe życie dla narodu. Wobec byłych żołnierzy Armii Krajowej może poważniejsze błędy, niż na odcinku propagandowym popełniono w praktyce, na przykład przez kilka lat powojennych litery AK figurujące w rubryce ankiety personalnej były dużą przeszkodą w normalnym awansie i ustabilizowaniu życiowym wielu młodych ludzi w Polsce Ludowej, a tym samym były przeszkodą w dojściu tych ludzi do pozycji społecznych tej Polski.

Z drugiej strony niesposób także dzisiaj zaprzeczyć, że problem Armii Krajowej w pierwszych latach powojennych nie był problemem prostym dla władzy ludowej budującego się Państwa. Wielu żołnierzy byłej Armii Krajowej, zwodzonych przez przywódców politycznych Londynu, w dalszym ciągu strzelało, choć okupant znikł z ziemi polskiej. Jest prawdą, że wielu byłych żołnierzy Armii Krajowej miało przez lata uzasadnione poczucie goryczy, że stawia się ich w pozycji obywateli gorszych, niejako drugiej klasy, z tego tylko względu, iż kiedyś zdecydowali się walczyć przeciwko wrogowi Ojczyzny, hitlerowskiemu okupantowi.

Z drugiej strony nie jest nieprawdą, że rzekoma apolityczność Armii Krajowej i jej czysto wojskowy charakter w czasie okupacji były fikcją. Ale czy o tym wiedzieli, czy zdawali sobie z tego sprawę, choć w małej mierze, szeregowi członkowie Armii Krajowej, którzy w warunkach konspiracyjnych ze szlachetnego porywu wstępowali do polskiego podziemnego wojska. Wielu ludzi przypadkiem zawędrowało do Armii Krajowej, tak jak i niejeden znalazł się w szeregach Armii Ludowej, nie w rezultacie klasowego uświadomienia, ale w wyniku konspiracyjnej konieczności zaczepienia się o pierwszy poznany ośrodek podziemny. Ale ten przypadek wstąpienia w warunkach konspiracyjnych do tego, czy innego oddziału polskiego podziemia wojskowego zaciążył potem na życiu wielu prostych żołnierzy.

W okresie, który podlega obecnie tak zasadniczej rewizji, często przeciwstawiano Armii Krajowej działalność podziemnej Armii Ludowej. Było to znów związane z szeregiem nieporozumień, bolesnych dla wielu byłych żołnierzy polskiego podziemia akowskiego i niesłuszne politycznie dla kształtowania się później stosunku tych żołnierzy do Polski Ludowej. Armia Krajowa przez bardzo długi okres była najsilniejszą podziemną siłą zbrojną, działającą na terenie Polski. Złożyło się na to szereg przyczyn: politycznych, ideowych, organizacyjnych i finansowych. Było to zrozumiałe, dopóki rząd londyński był jedynym legalnym rządem Państwa Polskiego. Armia Krajowa miała w tym czasie przejętą z okresu przedwojennego siatkę oficerów zawodowych. Dysponowała funduszami i możliwościami organizacyjnymi. Reprezentowała jedyny polski rząd i była formacją podziemnego wojska tego rządu. W dalszych latach okupacji sytuacja zaczęła się zmieniać. Organizowała się siła zbrojna polskiej lewicy. Pod koniec wojny rząd londyński coraz bardziej przestawał być autorytatywną polską władzą na obczyźnie. Wyzwolenie Polski mogło przyjść tylko ze wschodu i działające tam ośrodki polityczne polskiej lewicy zaczęły wpływać na układ sił politycznych w kraju. Żołnierze AK, nie orientując się w arkanach politycznych, nie zdając sobie sprawy ze skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, jaką miał rychło wytworzyć upadek Trzeciej Rzeszy — odcięci od informacji i obiektywnej prawdy politycznej, uważali się za żołnierzy armii powołanej przez rząd i za żołnierzy najliczniejszej armii podziemia. Tymczasem w okresie powojennym z niemałym zdumieniem usłyszeli, że wprawdzie Armia Krajowa pewną rolę odegrała, ale ich czyny bojowe nikły zupełnie na tle niewątpliwych przewinień przywódców. Dowiedzieli się i stale się dowiadywali przez kilka lat, że główny opór wrogowi stawiała Armia Ludowa, i jej to poświęcano książki, artykuły i wspomnienia, uroczyście odsłaniano pomniki jej bohaterów. Wszystko to razem oczywiście było tragicznym nieporozumieniem. Żołnierze Armii Ludowej z całą pewnością zasługiwali i zasługują na pamięć narodu. Ale nie tylko oni. Trzeba naprawić krzywdę popełnioną wobec świadomości żołnierzy Armii Krajowej, ponieważ niesłuszny byłby pogląd, że gorycz minęła i że sprawa ta jest w pewnym sensie zapomniana. Istota rzeczy polega na tym, że prawda nigdy nie powinna być zapomniana. Z wojennej historii naszego narodu należy wyciągnąć te wartości, z których młode pokolenia mogą czerpać siłę moralną i ideowość. Ale z historii należy czerpać także prawdę polityczną, należy wzbogacać w ten sposób narodową myśl polityczną. Otóż jak ta sprawa przedstawiała się w kategoriach politycznych w ostatnich latach okupacji. Jako członek Armii Krajowej byłem zdumiony, gdy w r. 1942 po aresztowaniu w Krakowie, w „Gestapo" pytano mnie tylko o organizacje lewicowe, o polską socjal-demokrację itd. Zdziwienie moje urosło jeszcze, gdy we wrześniu 1943 roku na Pawiaku wypełniałem formularz do przesłuchania, w którym jedno z pierwszych pytań brzmiało: „gehoerst du zu PPR, oder einer anderen-geheimen Organisation?" (czy należysz do PPR, lub innej tajnej organizacji?) Zdumiony byłem, dlaczego formularz „Gestapo" zapytuje najpierw o PPR, a nie Armię Krajową. Dziś jest to oczywiste. Jakkolwiek liczna i potężna była Armia Krajowa, to jednak — ponieważ wyzwolenie Polski mogło przyjść tylko ze Wschodu — dla okupanta najgroźniejsze i najniebezpieczniejsze były partie i organizacje lewicowe. Dlatego tak gwałtownie i bezlitośnie hitlerowcy zwalczali PPR, czy Armię Ludową. Tak wygląda rzecz realnie w kategoriach politycznych. Podziemie lewicowe było dla okupanta najgroźniejsze i najniebezpieczniejsze politycznie. Z niego wyrosła Krajowa Rada Narodowa, pierwsza władza ludowa w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu na ziemiach polskich. Tylko że tego wszystkiego nie mógł wtedy w żadnym wypadku rozumieć — wychowywany w określonym klimacie rzekomej apolityczności, prosty żołnierz Armii Krajowej. Należało mu ten sens polityczny i prawdę o układzie sił politycznych pod koniec wojny gruntownie tłumaczyć, nie dyskwalifikując tak boleśnie jego własnych zasług i dokonań dla narodu. Tymczasem nie uczyniono tego i zmarnowano przez to wiele sił, wiele nadziei i wiele entuzjazmu, który można by spożytkować później dla budownictwa socjalistycznego.

Dramatyczna od początku historia Armii Krajowej, znalazła epilog w powstaniu warszawskim. I tutaj znów nieodpowiedzialnie i zbrodniczo popchnięto młodzież polską do bezprzykładnego bohaterstwa w akcji, która, jak się to dzisiaj powszechnie uznaje nie tylko w kraju, ale także na emigracji, była obiektywnie wymierzona bardziej przeciwko ZSRR, niż przeciw Niemcom. Kto jednak z tych dziesiątków żołnierzy Armii Krajowej, którzy oddawali życie w sierpniu i wrześniu 1944 w Warszawie lub przypadkiem uniknąwszy śmierci znaleźli się w 1945 r. w Polsce Ludowej, wiedział cokolwiek o tej prawdzie politycznej? Tymczasem pierwsze rocznice Powstania były poświęcone raczej potępieniu przywódców, niż złożeniu hołdu bohaterom. Rocznice Powstania w dalszych latach były po prostu przemilczane lub kwitowane marginesowymi artykułami, tymczasem chodziło o rocznicę porywu zbrojnego, jaki nie ma precedensu w ogóle w historii Polski i jest fenomenem w historii narodowo-wyzwoleńczej w skali światowej. Zatracono proporcję między rzeczywiście ogromną winą przywódców politycznych a bezprzykładnym męstwem żołnierzy. Patos moralny, znaczenie bohaterstwa żołnierzy, przerasta i zaćmiewa wszystko; będzie trwałym składnikiem najlepszych polskich narodowych tradycji, będzie niezniszczalną wartością moralną, ideową i wychowawczą. Wartość ta powinna rozsławić imię ludu polskiego, prostego człowieka ulicy warszawskiej na cały świat. Nie zrobiono tego. Bardzo dużo nas to kosztowało, jeśli chodzi o kształtowanie się świadomości młodego pokolenia w nowej Polsce. W dużej mierze da się to jeszcze odrobić dla pokoleń następnych, dla wydobycia i przechowania wszystkich najpiękniejszych tradycji narodowych, dla widomego znaku, że prawda zwycięża w naszym ustroju społecznym.

I jeśli poruszamy dzisiaj te skomplikowane sprawy, które niesposób wyczerpać w jednym artykule, to nie dlatego, że poruszają je wszyscy, że teraz można je poruszać, a nawet wypada. Chodzi o to, aby z naszych łam padło uzasadnienie poruszania tej sprawy, które z jednej strony byłoby niedwuznaczną, niezmienną oceną ówczesnych okoliczności politycznych, okoliczności świadczących o załamaniu się linii politycznej polskiej prawicy i z drugiej strony byłoby oddaniem sprawiedliwości najlepszym patriotycznym tradycjom polskim doby współczesnej. Nie dzisiaj po raz pierwszy poruszamy to zagadnienie. Przez szereg pierwszych lat powojennych mając na oku sprawy ogólnonarodowe poruszaliśmy problematykę polskiego podziemia, Armii Krajowej, aby wydobyć patriotyczne tradycje i moralny walor wojennego czynu zbrojnego, a jednocześnie by zbliżyć byłych akowców do Polski Ludowej. Chodziło nam w pierwszych latach powojennych o tak zwane „biologiczne zachowanie narodu", o to, by Polacy nie strzelali do siebie, by rozładować sytuację, wreszcie, żeby powoli w miarę dojrzewania ideologicznego formować jedność narodu w jego odbudowie, a potem przebudowie gospodarczej. Ciekawe, że dzisiaj w toku rozpoczętej i tak słusznej dyskusji na temat Armii Krajowej mają do nas pretensje o to, że zajmowaliśmy się tą sprawą. Jerzy Ambroziewicz, Walery Namiotkiewicz i Jan Olszewski w „Po Prostu" w artykule pt.: „Na spotkanie ludziom z AK" — piszą: „Tradycje walki z faszyzmem prostego żołnierza AK, tradycje będące własnością ogólno - narodową puszczono w pacht nobliwym katolikom z „Dziś i Jutro"." No cóż, młodzi ludzie przejęci „świętą" gorliwością mogą pisać bzdury.

Po wyzwoleniu nasz zespół redakcyjny złożony w większości z byłych akowców uważał za swój obowiązek, pisanie o AK. Czyniliśmy to, dopóki to było możliwe, udostępniając także łamy „Dziś i Jutro" ludziom nie związanym z pismem, których artykułów o Armii Krajowej, nikt inny nie chciał wówczas drukować. Na przykład: Jerzy Piórkowski i inni na tej właśnie zasadzie publikowali w „Dziś i Jutro" swoje wspomnienia i rozważania o walce Armii Krajowej. Ale to nie jest ważne. Jeśli przytaczamy tę sprawę, to dlatego żeby przypomnieć, że każde zagadnienie polskiego życia politycznego, także problem Armii Krajowej, porusza się po to, żeby umacniać jedność narodu budującego socjalizm. Obecnie wszyscy patriotycznie czujący ludzie myślą o tym, żeby potęgować siły narodu i dlatego dyskutują zastarzałe błędy, które do dzisiaj hamowały rozwój świadomości społecznej w niektórych kręgach i odbierały społeczeństwu najlepsze tradycje narodowe. I nasza dyskusja na temat Armii Krajowej powinna toczyć się nadal w poważnej atmosferze, w jakiej przystępuje się do problemu wielkiej tradycji patriotycznej i do problemu tragicznych pomyłek politycznych w dziejach narodu.

Okres okupacji w Polsce i pierwszy okres powojenny wymaga gruntownego, podejmowanego z największym poczuciem odpowiedzialności opracowania naukowego.

Współczesna historia naszego narodu należy do przełomowych okresów w jego dziejach. Trzeba będzie utrwalić z niej wszystko to, co jest moralnym i wychowawczym pomnikiem kultury polskiej. Bardzo dobrze więc — dla polskiej kultury, dla wychowania społecznego i dla prawdy w życiu socjalistycznym, że rozpoczęta próba rewizji i dyskusja nie ominęły wielkiej, poważnej sprawy Armii Krajowej.

ROZWAŻANIA O BEZPARTYJNYCH

Wojciech Kętrzyński

POLITYCZNY sens bezpartyjności kryje w sobie wiele nieporozumień i chyba jeszcze wciąż za mało wkłada się wysiłków w nadanie temu pojęciu niezbędnej społecznej precyzji. Formalnie rzecz jest oczywiście jasna: bezpartyjnym jest ten, kto nie należy do Partii Robotniczej, ani do żadnego ze stronnictw złączonych z nią sojuszem. Truizm ten, rzecz jasna, nie posiada żadnego głębszego znaczenia. Istotne jest bowiem przede wszystkim to, że bezpartyjnych jest i będzie zawsze w społeczeństwie znacznie więcej niż partyjnych i że problem bezpartyjnych jest przeto synonimem problemu społecznej i politycznej postawy i odpowiedzialności większości narodu.

Istnieje taka tendencja, która definiuje bezpartyjnych jako „szarą masę", którą trzeba różnorodnymi środkami skłaniać do budowy socjalizmu. Istnieje inna, subtelniej już dzieląca ową „masę" na część reakcyjną, na część zdezorientowaną, oraz na tych, którzy wskutek niewiadomego przypadku czy nieporozumienia nie weszli dotąd w skład partyjnego aktywu. Tych trzeba zorganizować, tamtych przekonać, a reakcyjnych zwalczać.

Tymczasem, po jedenastu latach istnienia Polski Ludowej, świadomość ideowo-polityczna szerokich kręgów naszego społeczeństwa rysuje się zupełnie inaczej. Narasta wśród szerokich mas bezpartyjnych coraz to szerszy aktyw ludzi, czynnie współtworzących rzeczywistość socjalistyczną, z uznaniem i z przyjaźnią odnoszących się do roli i społecznego autorytetu Partii, a jednak pozostających na pozycjach bezpartyjności.

Są wśród nich oczywiście tacy, których stanowisko jest w praktyce identyczne z postawą ludzi partyjnych, a tylko różne względy uboczne powstrzymują ich od partyjnego zaangażowania. Rośnie jednak z każdym dniem liczba tych, którzy budując ofiarnie socjalizm, w całej pełni szanując nadrzędny autorytet Partii, nie należą do niej świadomie, w przekonaniu, iż istnieją sprawy merytoryczne, w których sąd ich różni się od tej linii, jaką w danym momencie reprezentuje właśnie program partyjny.

Takie postawienie sprawy wywoła zapewne ostry protest wśród wielu osób, czułych na ortodoksyjność socjalizmu. Nie ma, powiedzą, różnych socjalizmów. Jest jeden i tylko partia klasy robotniczej jest zdolna do określania i realizowania jego treści.

I to jest na pewno prawda. Prawdą jest jednak również, że nie każdorazowe decyzje, rozwiązania i koncepcje, lecz całość historycznego dzieła rewolucyjnego stanowi o przodującej roli partii klasy robotniczej. Prawdą jest również, że partia ta czerpie swe natchnienie nie tylko z dzieł klasyków, nie tylko z dojrzałości ideologicznej swego aktywu, ale także z postawy, przemyśleń, postulatów najszerszych mas pracujących. Poglądy bezpartyjnego mogą być przeto twórcze i niezbędne nie tylko wówczas, gdy są one konformistyczne w stosunku do aktualnych wytycznych partyjnych. Przeciwnie — konformizm taki byłby dla budowy socjalizmu fatalny, gdyż mógłby być tylko wyrazem zupełnej bierności społeczeństwa w stosunku do idei socjalistycznych.

Postawmy więc tezę, że wówczas budownictwo socjalizmu ma szanse rozwijać się prawidłowo, gdy partia, jako siła kierownicza, styka się nieustannie z dynamiczną i pogłębioną, klasowo uświadomioną opinią kół bezpartyjnych. Gdy tego zabraknie — grozi zahamowanie lub wypaczenie realizacji idei socjalizmu.

Powstaje jednak od razu pytanie — jakie elementy są niezbędne dla tworzenia się i wyłaniania szerokiej opinii społecznej, pełniącej taką właśnie funkcję?

Oczywiście przede wszystkim pełna świadomość w szeregach aktywu partyjnego, że konfrontacja jego postawy z poglądami szerokiego społecznego aktywu bezpartyjnych jest konfrontacją twórczą. Dalej — właściwa atmosfera, skłaniająca do szczerego i otwartego wyłaniania się tej opinii o dużym poczuciu odpowiedzialności, lecz wyzwolonej z wszelkich rygorów konformizmu. Wreszcie — właściwa atmosfera dyskusji, nie cofającej się przed problemami trudnymi, zaskakującymi i nieraz zupełnie nie typowymi.

BODŹCEM do powyższych rozważań jest narastający niepokój, czy właśnie w obecnym, niesłychanie ważnym dla przyszłości świata socjalistycznego okresie, spełniają się w należyty sposób warunki dla takiej twórczej konfrontacji.

Nie ulega wątpliwości, że od dłuższego już czasu, niewątpliwie w zgodzie z dyrektywami partyjnymi, odbywa się w Polsce duża praca właśnie w kierunku pogłębiania kontaktu z masami bezpartyjnych. Świadczą o tym różnorodne formy aktywności prasowej, świadczy o tym też kierunek masowej pracy terenowej. Nikt nie mógłby w Polsce twierdzić, iż problem ten jest zapoznawany czy lekceważony. Z drugiej strony jednak również trzeba stwierdzić, iż istnieją w dalszym ciągu poważne opory, powodujące, że ta zdrowa i twórcza opinia wyłania się tylko cząstkowo, niepewnie, nieraz zdeformowana. Jest również faktem, że istnieją dla tej opinii ciągle dwa tory, jeden oficjalny, bardziej nieśmiały i konformistyczny i drugi, bardziej spontaniczny i głębszy, ale rzadziej ujawniający się formalnie. Ów tor oficjalny i konformistyczny zarazem ujawniał się przy okazji niektórych publicznych dyskusji, wyrażała go w pewnej mierze publicystyka; drugi natomiast krył się po opłotkach rozmów, osobistych zwierzeń, w najlepszym razie ukazywał się w kameralnych polemikach między przedstawicielami konserwatywnych i postępowych poglądów.

W rzeczywistości miniony okres nie stworzył właściwych warunków dla twórczej konfrontacji poglądów szeroko pojętej społecznie postępowej opinii publicznej z obowiązującymi na poszczególnych etapach wytycznymi politycznymi.

Dziś wytyczne polityki poprzednich okresów ulegają daleko idącej rewizji i krytyce. Rozmiary tej rewizji i surowość krytyki stają się bez wątpienia dla części naszej opinii publicznej nawet zaskakujące. Jednak to nie sam proces rewizji jest niepokojący. We wszystkich chyba środowiskach odpowiedzialnych i myślących w Polsce istnieje dziś przeświadczenie, że ostatnie lata wskazują na wielki i niezwykle doniosły proces wyzwalania ideologii socjalistycznej z naleciałości i usztywnień, które kosztowały niezwykle drogo i hamowały rozwój socjalizmu nieraz poważniej niż działalność wrogów klasowych.

W pewnej chwili odkryto „oficjalnie" w Polsce pogłębiający się proces demoralizacji młodzieży, demoralizacji prowadzącej do chuligaństwa, a czasem aż do zbrodni. Ale o tym zjawisku, o błędnych metodach pedagogicznych w szkolnictwie, o trudnościach wychowawczych domu mówiono w kręgu rodziców, mówiono wśród wychowawców, w szerokich kręgach zainteresowanych dużo, dużo wcześniej. Zbyt długo jednak czekano, nim rozmowy te zamieniły się w dyskusje prasowe, a i te nie oddały jeszcze w pełni charakteru argumentów i niepokoju, jakie wyrażają prywatne rozmowy.

W ten sam sposób „odkryto" zagadnienie lakiernictwa, problem stopy życiowej, współczesną problematykę moralności małżeńskiej. Dziś natomiast na łamy naszej prasy wchodzi ponownie, po tylu latach milczenia — problem ludzi z AK. Zauważono, że jest coś radykalnie niesprawiedliwego i politycznie zupełnie fałszywego w ustosunkowaniu się nie tylko „personalników", ale i innych czynników politycznych do ludzi z wojenną przeszłością akowską. Ale nie tak dawno temu odpowiedzialny kierownik placówki o dużym społecznym znaczeniu odprawił młodą kandydatkę do pracy, gdyż w jej ankiecie znalazł informację, iż była w czasie wojny łączniczką w jednostce AK. „Ja sam, tłumaczył, byłem związany z AK., wśród personelu jest też sporo osób. Wiem, że pani ma doskonałe kwalifikacje zawodowe, ale pani rozumie chyba, że do pracy nie mogę pani przyjąć".

Ale opinia, ta szeroka i odpowiedzialna, od lat wiedziała o tym, że pogłębia się u nas zwichnięcie polityki wobec masy ludzi, których do AK zaprowadziła nie polityka Londynu, czy sanacyjnych pułkowników, lecz najszczersza wola walki z najeźdźcą. To bywało przedmiotem nieustannych rozmów, ale nie wychodziło na forum publiczne.

Dziś stoimy wobec konieczności dokonania wielkiego i niezmiernie trudnego rozliczenia się z problemem, postawionym na porządku dziennym XX Zjazdu w Moskwie: ocena dzieła Stalina, ocena związanego z jego osobą kultu jednostki, zbrodni i wypaczeń, jakie na tym tle nastąpiły. Oczywiście jest to wewnętrzny problem partii komunistycznych, ale jest to jednocześnie problem niezwykle doniosły politycznie i moralnie dla całej społecznie postępowej opinii publicznej tak w Polsce, jak i na całym świecie. Wewnętrzne reakcje naszego społeczeństwa, choćby nie zawsze dojrzałe i słuszne, były w swej istocie zdrowe, twórcze, wartościowe. Winny one więc zyskać sobie najpełniejsze warunki do ujawniania się, do polemik i konfrontacji właśnie w tej najzupełniej nie konformistycznej formie, która pozwala spontanicznie sądzić, oceniać czy krytykować wszystkie przejawy naszego życia społecznego i politycznego.

Oczywiście, że obok twórczych wartości, takie ujawnianie się spontanicznej opinii publicznej musi nieuniknienie wnieść także i elementy chaosu.

Są istotne podstawy do niepokoju, bo już dziś w pewnych kołach intelektualnych dyskusja schodzi z płaszczyzny twórczej na manowce demagogii, krytykanctwa i defetyzmu. Ale nie miejmy złudzeń. Obok twórczej, społecznie postępowej opinii istnieje w Polsce od lat i ta warcholska, nihilistyczna. Istnieje i działa. Przestaliśmy ujawniać publicznie tylko opinię zorganizowaną i przecedzoną. Zaczęliśmy zachęcać do ujawnienia opinii dogłębnej i spontanicznej, jeśli otworzymy przy tym furtkę także dla publicznego ukazywania się opinii społecznie szkodliwej, czy nawet świadomie wrogiej — to w istocie łatwiej przyjdzie nam przezwyciężać jej skutki, łatwiej niż teraz, gdy kryje się ona w cieniu plotki i podszeptów.

ÓW proces pełnego wydobycia na światło dzienne rzeczywistych przejawów opinii publicznej i konfrontacji jej wymowy z wytycznymi i programem budowy socjalizmu, wypracowywanym przez Partię — nie będzie łatwy.

Opinia taka bowiem powstaje zupełnie samorzutnie. Ale nie ujawnia się publicznie samorzutnie, nawet gdy usunie się przeszkody formalne, jakie mogą powstawać. Opinia taka musi mieć swoje ośrodki krystalizacji i swe liczne kanały, za pomocą których wychodzi na wierzch życia publicznego. Na tym odcinku cała struktura pozostaje właściwie do zbudowania. Nie wystarczy istniejąca prasa, nastawiona przede wszystkim informacyjnie i problemowo. Nie spełnią tej roli instancje administracyjne, zajęte sprawami szczegółowymi, ani instancje partyjne, które mogą przejawy tej opinii śledzić i analizować, ale które przekazywać będą zawsze opinię wewnątrz-partyjną.

Zachodzi tu konieczność wyjaśnienia ewentualnego nieporozumienia, polegającego na próbie mechanicznego przeciwstawiania opinii publicznej i partyjnej. Przeciwstawiać tak można tylko odłam reakcyjnej opinii i poglądy partii. W zasięgu oddziaływania tendencji postępowych istnieć muszą oczywiście podstawowe zbieżności, oparte o tę samą intencję budowy socjalizmu. Opinia partyjna może również przekazywać w konkretnych wypadkach identyczne bodźce, jak ta niezorganizowana, bezpartyjna. Jednak, jak wykazała to nasza analiza wstępna, ta spontaniczna opinia bezpartyjna musi być z konieczności rzeczy szersza, bardziej zróżnicowana, mniej konformistyczna. Stąd właśnie ujawnienie jej sądów o wszystkich podstawowych problemach społeczeństwa socjalistycznego może mieć tak wielkie, twórcze znaczenie dla kierowania budową socjalizmu.

Społecznie postępowa opinia kół bezpartyjnych — to po prostu ta, która nie czerpie bezpośrednio swych argumentów i swych reakcji z klasycznych kategorii marksistowskiego myślenia. Będzie ona zawsze w jakiejś mierze spokrewniona z zasadami marksizmu przez sam fakt, że jako społecznie postępowa, wiązać się będzie z centralną problematyką budowy socjalizmu. Jednocześnie jednak będzie, jak to podkreśliliśmy — nie typowa, nie konformistyczna, bliższa lub dalsza zasadom klasycznym i na tym właśnie polega jej bogactwo i jej wielkie znaczenie. Tylko konfrontacja tych ideologicznie różnorodnych naświetleń problemów aktualnych z systematycznymi przemyśleniami partii może dać w rezultacie budowę socjalizmu nie dogmatycznego, nie oderwanego od palących problemów życiowych, nie ulegającego tak dogłębnym wypaczeniom, jak te, które się dziś przezwyciężą.

Na to jednak, by ta konfrontacja była twórcza — muszą w szerokiej opinii publicznej krążyć różne tendencje ideowe, krystalizujące wyłaniające się poglądy i nadające im treść przemyślaną i pogłębioną. Bądźmy przekonani, że tysiące indywidualnych przemyśleń, ożywionych nawet najlepszymi intencjami same przez się nie dadzą nigdy wartościowych i społecznie skutecznych sądów, jeśli się nie będą krystalizować wokół różnych ośrodków ideowych, dysponujących dużą swobodą szukania najlepszych rozstrzygnięć na zasadzie własnych eksperymentów.

Tylko bogactwo myśli i poszukiwań, tylko śmiałość spostrzeżeń i ułatwień w ich wyrażaniu mogą nadać kulturze socjalistycznej właściwą treść, a kierownictwu tej wielkiej budowy dać do ręki pełnowartościowy materiał dla analizy niezbędnych rozstrzygnięć i niezbędnych także korektur.

Bogactwa tego brakowało nam wyraźnie w poprzednim okresie. A dać go może tylko wyłanianie się nowych „szkół myślenia i działania", opartych o możliwie najszerszy wachlarz poglądów mieszczących się w społecznie postępowym dorobku kulturalnym, poglądów zarówno światopoglądowych, jak ideowo-politycznych.

na kotkach

Jerzy Krzyszłoń

II Dzień

1

NIE zauważył, kiedy przyszła i przykucnęła na stołeczku, na którym zazwyczaj siadywał ksiądz Siwiec. Pozwoliła długo przyglądać się sobie, tak jakby wyszła wprost z krzaków malin z lekkim rumieńcem na twarzy i przekornym uśmiechem w skośnych oczach — i chciała za chwilę odejść z powrotem bez słowa. Mikołaj poruszył się niespokojnie i naciągnął koc na okaleczałe nogi. Od czasów Krystyny nie miał do czynienia z żadną żywą dziewczyną, miał do czynienia z dziewczynami swojej wyobraźni, ale one ginęły jedna za drugą i z nimi się nie rozmawiało. Zresztą one podobne były do Maji nagich, a rzadko, bardzo rzadko — i z wielkim wstydem — do Krystyny. I wszystkie potrzebne na złudną chwilę, albo wtedy jak nie można było zasnąć.

Wiatr przyniósł dźwięk organów z pobliskiego kościoła. Długie, namaszczone A m e n spadło między grusze i jabłonie, a dziewczyna potrząsnęła głową i powiedziała bardzo zwyczajnie:

— Kalikuje przeciwko... rewolucji.

Mikołaj się uśmiechnął. Takie dziewczyny nie wychodzą z krzaków malin. Przychodzą wprost przez plebanię, albo furtką od tyłu ogrodu. Śledził jej smukłe ręce, kiedy otworzyła małą torebkę i coś tam w niej długo szukała. Chyba jakaś zwariowana dziennikarka razem z tą swoją rewolucją.

— Pan to robił, nie?

To łobuzerskie „nie?", wprawiło go w świetny humor. Ledwie mógł się powstrzymać od śmiechu, kiedy trzymała w palcach kogucika. Był to jeden z tych kogutków, które wypuszczał setkami. Ani ładniejszy, ani postawniejszy od innych. Z czupurnym piórkiem i grzebieniem. Tyle że trochę pomięty, bo się przeleżał u niej w torebce.

Ale ona patrzyła poważnie, bez cienia przekory w oczach.

— To najśmieszniejszy kogutek, jakiego w życiu widziałam. A znam się na tym, bo mój ojciec przed wojną miał aptekę. Teraz upaństwowili. Ależ on rzępoli...

— I pomagała mu pani sprzedawać proszki od bólu głowy? — zaśmiał się Mikołaj.

— Zgadł pan. Z pana jest całkiem do rzeczy chłopak, kiedy się pan śmieje.

Mikołaj spurpurowiał. Nie znał się na dziewczynach, a z Krystyny zostało tylko blade wspomnienie, zresztą nie pamiętał, żeby ona kiedykolwiek tak do niego mówiła. Więc krew go zalała, że pozwala z siebie kpić. Stuknął nożycami w poręcz fotela.

— Czego pani się czepia? — mruknął. — Czego pani ode mnie chce?

— Niczego — powiedziała i na chwilę przekorny błysk zwęził jej oczy. — Poznać producenta kogutków. W takiej dziurze to nie lada pokusa. Artystów tu za dwa grosze...

Wtedy na ścieżce pojawił się ksiądz Siwiec. Szedł patrząc na czubki swoich butów, więc jak podniósł głowę — stanął skamieniały. Mniej by się zdumiał, gdyby gruszа w niebo uleciała — niż oglądając Ewę pod gruszą.

Dziewczyna skinęła mu ręką. Ksiądz Siwiec zamrugał powiekami, wspiął się na palce i pomaleńku, boczkiem zaczął się wycofywać...

— Mój Ty Boże — szepnęła dziewczyna — czyżbym się szminką umazała?...

Wyjęła szybko lusterko.

Ksiądz Siwiec puścił się truchtem w stronę plebanii, aż mu siwa czupryna falowała.

Dziewczyna westchnęła, poprawiła włosy, przyjrzała się podejrzliwie swoim oczom.

— Nic nie widzę — mruknęła. — Dekolt w porządku. Któż to taki, u Boga Ojca?

Mikołaj objął ją roześmianym spojrzeniem.

— Producent gołąbków.

— To on z panem tu robi?

— Jedna spółdzielnia. Zajęła pani jego stołek.

— Do licha! — zerwała się i podbiegła ścieżką, ale po księdzu Siwcu nawet już trawa nie falowała. Była zgrabna, choć miała trochę krzywe nogi i stawiała je śmiesznie, odrobinę do środka. — Czemu mnie pan nie uprzedził?

— Kiedy? Przecież pani bez przerwy gadała.

— Gadałam. Bo co ma robić biedna dziewczyna, kiedy się na nią gapią jak na malowane wrota.

— Przepraszam — mruknął Mikołaj i spuścił oczy. — Tu się ciągle widzi te same twarze.

— No, nie zawsze — powiedziała dziewczyna. — Ja dzisiaj zobaczyłam dwie nowe. Czy ten ksiądz mszy nie odprawia? Nie pamiętam, żebym widziała go w niedzielę...

— Odprawia. Ale bardzo wcześnie, o szóstej.

— I kazań nie wygłasza?

— Nie.

— Szkoda. Ciekawe, co mógłby powiedzieć taki śmieszny staruszek? Co mu jest?

— Szmergiel — mruknął ponuro Mikołaj.

— Co znaczy... szmergiel?

— No... piąta klepka.

— Skąd?

— Z obozu.

— Aha — powiedziała dziewczyna — więc to jest ksiądz Siwiec! — I nagle jakby nie wiedziała, co ma zrobić z rękami, przetarła sobie twarz. — Moja matka zginęła w obozie... O, jakżeż on strasznie rzępoli! No, to ja już sobie pójdę.

Podniosła szybko z trawy torebkę, upakowała z powrotem kogutka i wyciągnęła rękę. Mikołaj uścisnął ją mocno, co mu pomogło wziąć się na odwagę.

— Żebym wiedział, jak się pani nazywa...

— Jan Chrzciciel — uśmiechnęła się — bo nigdy nie było świętej Janiny. A nazwisko pan znajdzie na szyldzie, jeszcze się nie zatarło pod nową farbą... Przecież mówiłam, że mój ojciec miał aptekę w rynku.

Pomachała mu ręką i poszła w stronę furtki na końcu sadu. Naprawdę bardzo śmiesznie stawiała nogi, tak jakoś odrobinę do środka.

2

TO była wspaniała apteka, bo można było wjechać do niej wprost z ulicy przez maleńki prożek. Nawet się kółka nie zacinały i szły gładko jak po maśle. Jako stuprocentowy inwalida o widocznym kalectwie mógł kupować bez kolejki, ale wolał odczekać przykładnie pół godziny po swoje pięć proszków od bólu głowy — ku zadowoleniu zastanych kolejkowiczów, którym się zawsze okropnie spieszyło. Był jednym z tych nielicznych członków Związku Inwalidów, którzy potrafią okazać, że szanują czas społeczny — jak się wyraził pewien mecenas w dowód wdzięczności. Mikołaj nie mógł darować dziewczynie, że udała, jak to ją drapie w gardle i wyjęła krztusząc się chusteczkę. Najpierw kupował proszki raz na tydzień. Później — dwa razy na tydzień. A potem już codziennie. Dziewczyna brała słoik, łyżeczkę, wsypywała proszki do torebki, pisała na niej: o d b ó l u g ł o w y, i podawała z tym samym grzecznym uśmiechem jak stu klientom przedtem i stu klientom potem. Czasem pukała w ścianę i kiedy w bocznych drzwiach pokazywała się rozczochrana głowa, pytała ojca, czy już gotowe to czy tamto. Ojca, bo to była całkiem siwa głowa i tak mu zresztą powiedzieli klienci, kiedy dziewczyna znikła w sąsiednim pokoju. Poza tym przyjmowała recepty, skupywała puste butelki o przeznaczeniu aptecznym i doradzała babkom, co robić na wsparcie. Szału można było dostać — i Mikołaj za każdym razem obiecywał sobie, że już tu więcej nie przyjedzie.

Ksiądz Siwiec omijał go z daleka, ale nie mógł wytrzymać bez gołąbków, więc zazierał od czasu do czasu i ponoć bardzo się złościł, że Mikołaj tak rzadko przesiaduje teraz pod gruszą. Tak mu przynajmniej mówiła matka. Bo ksiądz Siwiec milczał, wycinał swoje gołąbki, ale bez animuszu i w ogóle był jakiś osowiały. Stary ptaszek. Raz tylko spytał z jakąś dziwną troską w oczach:

— Kto był u ciebie, braciszku?

— Jan Chrzciciel — odparł Mikołaj.

— Zwariowałeś? To była dziewka.

— Ba, kiedy mówiła, że święta Janina należy do tych świętych Kościoła rzymskiego, które nigdy nie istniały.

— Nie wiem — mruknął ksiądz Siwiec. — Nie znam się na świętych. Trzeba by się spytać tego d u r n i a...

I znowu czegoś się zasępił. Tak więc wrócili do bernardyńskich czasów i mądrych ślubów milczenia. Ale obaj czuli, że to już nie ta s p ó ł d z i e l n i a, co przed kilkoma tygodniami.

Mikołaj pchał te diabelskie proszki do kieszeni i hurtem pozbywał się ich przy końcu każdego tygodnia. „Od bólu głowy" — głosił napis. Od bólu głowy! Szału można było dostać.

Ale kiedyś przy porządkowaniu wszystkich kieszeni u kurtki wpadła mu w ręce torebka, pokryta na odwrocie równym pismem. Myślał, że to pomyłka, ale było tam wyraźnie napisane: „Przestań kupować te proszki. Kup choć z raz weramon. Przyda się na zęby. J. A." To „A" się zgadzało, bo była to apteka Antosiewicza.

Gwizdnął więc babce jakąś starą receptę i na wolnym skrawku u dołu wypisał bardzo stanowczo: „Muszę się z panią spotkać. Czekam na drodze za cegielnią. Każdego wieczora".

Przyjęła tę receptę, przebiegła oczami do końca i zaczerwieniła się okropnie. Tak okropnie, że ludzie w kolejce zauważyli i zrobiło się wszystkim bardzo głupio. Mikołaj się spocił i zaczął bezmyślnie przeczesywać palcami gęstą czuprynę.

— To pomyłka — powiedziała na całą aptekę. — Po co panu płyn na porost włosów?

Zrobił się wielki śmiech a Mikołaj śmiał się najgłośniej.

— To nie dla mnie... dla babci.

I znowu wszyscy bardzo się śmiali, aż stary farmaceuta wysadził zza drzwi rozkudłaną głowę. I przyjrzał się wszystkim poważnymi oczami.

3

PRZYSZŁA Pierwszego wieczoru. A droga za cegielnią, to najładniejsza droga w okolicy. Dlatego, że mało kto tam chodzi, bo wszyscy wolą chodzić nad rzekę. Rosną tu młode topole i niebo jest zawsze wysokie, śpiewne od chrzęstu świerszczy. Z tej drogi można zjechać wprost na łąkę, albo między pszenicę ugiętą przed żniwem.

Nie zniósłby tego, żeby ona szła przy fotelu trochę jak pielęgniarka, trochę jak opiekunka, albo litościwa, bo za przystojna krewna. Zaproponował, żeby zjechali na ścieżkę w bok od drogi, jeszcze dalej w miękką trawę, gdzie można było usiąść i spokojnie ustawić fotel. Zdjął blezer, ale ona wolała podesłać własny żakiecik. Usiadła naciągając spódnicę aż po kostki, zupełnie jak Krystyna. I też miała lekką bluzeczkę. To go jakoś dziwnie onieśmieliło. Słuchał świerszczy i patrzył w przedwieczorne niebo, jakby był sam i wcale nie czekał na to spotkanie.

— Pan nie pali? — spytała.

Zobaczył w jej ustach papierosa.

— Zapalę.

Podała mu papierosa i ogień, ale zapałka zgasła na wietrze.

— Lepiej tak — powiedziała marszcząc brwi — przypalić...

Więc przypalił i znów siedział patrząc w niebo, słuchając świerszczy. Skąd przez te lata wzięła się w nim taka nieśmiałość? Z Krystyną przecież gadali bez ustanku. Czort wie, czy potrafiłby jeszcze całować. Niebo pokryło się zmierzchem i jaskółki śmigały tuż, nad samą ziemią.

— Rozmowny pan nie jest — powiedziała mrużąc oczy przed dymem. — Ale ja-kie tu powietrze... — i odrzuciła papierosa. — Nie czuje pan, jak p a r u j ę?

— Słucham?

— No, nic pana w nosie nie świerzbi?

— Pachnie polne ziele...

— A ja myślałam, że waleriana, mikstury i cały ten aptekarski ambaras! Przecież zawsze paruję tym świństwem. Byłabym baletnicą, żeby się ojciec nie uparł... No, niech pan powącha... — I podsunęła mu rękę pod nos.

Pochylił się nisko i wyczuł lekki zapach perfum. Przytrzymał jej dłoń i pocałował. Spojrzała zaskoczona, pokręciła głową.

— Pan tak milczkiem, milczkiem... po swoje, co?

Wtedy jeszcze raz zdobył się na odwagę i powiedział:

— Proszę pani... Pani Janko, ja od sześciu lat nie rozmawiałem z żadną dziewczyną. Tylko raz, jak pani przyszła do sadu. A teraz drugi.

I zaczerwienił się po same uszy.

— Na jakim świecie pan żyje? Kto teraz z dziewczyną rozmawia? Mówi się: legaj, panna. I tyle.

— Przepraszam... Ja doprawdy... Ja nie wiem, czym panią obraziłem?

Przyjrzała mu się uważnie, przetarła oczy i uszczypnęła w kolano.

— Panie, pan jesteś Tristan, jak Boga kocham!

— Pomyłka — powiedział Mikołaj i ni stąd ni zowąd przypomniał sobie księdza Siwca, jak go pytał o siedem sakramentów świętych. — Pomyłka, miła pani. Mam wyobraźnię i z kobiet robię Maje rozebrane.

— No — ucieszyła się dziewczyna — nareszcie męskie słowo w tej całej idylli. Ale mnie pan wyobraźnią nie rozbierze.

— Proszę pani, ja kiedyś miałem dziewczynę — uśmiechnął się Mikołaj. — Naprawdę. Jeszcze jak byłem, jak to się mówi, zdrów i cały. Całowałem ją...

— I cóż z tego?

— Nic. Nigdy nie pozwoliła się dotknąć.

— A skąd pan wie, że ja pozwolę?

Mikołaj złapał się za głowę.

— Proszę pani, ja nie wiem! Ja doprawdy...

Sięgnęła do torebki i powiedziała z przymilnym uśmiechem:

— Może... proszek?

Mikołaj ścisnął palcami krawędzie fotela, pochylił się aż mu żyły wezbrały na karku.

— To nie pani... Pani jest inna!

Wyjęła lusterko i przyjrzała się bardzo poważnie i bardzo dokładnie swojej twarzy.

— To wyobraźnia, m i ł y panie... Naucz się pan patrzeć na życie prosto!

Mikołaj opadł w fotel.

— Przecież pani robi z siebie małpę!... A zresztą to już wszystko jedno.

— Skądże z pana taki menażer? Gołąbki i kogutki? Zgoda. Nie ja mówiłam, że od sześciu lat nie rozmawiałam z żadnym... chłopakiem. Ten post się odbija.

— Racja. Zmarzłem.

Chwycił za kołowrotek i pognał ścieżką, aż wózek podskakiwał na wybojach. Na zakręcie o mały włos się nie przewrócił, ale przegiął się tułowiem w lewo i złapał równowagę. Zatrzymał się zdyszany, dopiero u samej drogi. Otarł pot z czoła i klął po chłopsku, z zaciśniętymi wargami.

— Co za wszechstronność... Menażer i kawalerzysta — posłyszał głos dziewczyny.

— Niech pani idzie przodem — powiedział przez ramię. — Do widzenia.

— Chce pan, żebym zademonstrowała swoje zgrabne nogi?

Stanęła przy nim z tym swoim uśmieszkiem w oczach i wyciągnęła rękę. Przymknął powieki i udał, że nie zauważył. Miał jej dosyć razem z nogami.

— No, mógłbyś mnie pocałować.

Zacisnął ręce na krawędziach fotela, zamknął oczy i schylił na piersi głowę. Ale ona wsunęła mu dłoń we włosy i szybko, delikatnie dotknęła wargami jego ust.

Gwiazdy już dawno wyszły na niebo, świerszcze przestały grać i odezwały się żaby, Chłód go przeszywał na wylot, ale siedział nieporuszony i smakował ten pocałunek.

4

OD tego spotkania na łące nie widział się z nią dziesięć dni. Raz, że się przeziębił a nie może być gorszego draństwa aniżeli grypa latem; dwa, że przez tydzień miał wątpliwości, czy mu już naprawdę dziewczyny nie obrzydły. I czy nie lepiej nadużyć od czasu do czasu wyobraźni dla Maji nagiej.

Ksiądz Siwiec odstawił na bok matkę i babkę, parzył mu ziółka i był taki uśmiechnięty, jakby już dostąpił zbawienia. Razem wycinali gołąbki, a ksiądz Siwiec puszczał je z okna na podwórko. Któregoś dnia wszedł, kręcił się niespokojnie po izbie, potem usiadł na brzegu łóżka, wyjął brewiarz, podmuchał, wreszcie pieczołowicie wyciągnął dłoń i powiedział:

— Mistrzu, mistrz popatrzy.

Mikołaj spojrzał zdumiony.

A była to rozeta najcudniejsza, jaką można wymarzyć. Sam pająk by się nie powstydził takiej roboty. I nigdy by nie uwierzył, że takie coś da się zrobić z papieru.

— Mój Boże — powiedział Mikołaj. — Mój Boże...

Ksiądz Siwiec pokazał dwa wybite zęby w powściągliwym uśmiechu.

— Ten d u r e ń uczy dzieci: Nie będziesz wzywał imienia Pana Boga Twego nadaremno!... To dla ciebie, braciszku. Drugi raz bym czegoś takiego nie zrobił. Choćby mi dopłacali.

Mikołaj się uśmiechnął.

— Proszę księdza, ja zwijam interes. Nie wytrzymam takiej konkurencji.

— Kiedy chodzi o to, żebyś ją wytrzymał, braciszku.

No, jeśli tu cię boli — pomyślał Mikołaj — to źleś się wybrał, ptaszku. W ten sposób nie zwyciężysz z Ewą.

To naprawdę było i śmieszne, i żenujące, że ksiądz Siwiec stał się o niego zazdrosny. Kto by pomyślał! Stary dziwak. Wrobił go w sakrament kalectwa i jeszcze mu mało! Konfratra sobie znalazł, bratnią, kapłańską duszę. Ci księża są niesamowici. Dla nich wszystko może być kapłaństwem — nawet małżeństwo — i wszystko sakramentem. Uświęcać, uświęcać i uświęcać. O jasny gwint! Po co? Przecież są rzeczy, których żadną miarę nie da się uświęcić, tak jak łajna na drodze. A zresztą cóż to znaczyło — s a k r a m e n t k a l e c t w a? Albo — dwa cacane słówka, albo... No, cóż Chrystus powiedział do apostołów: „Nie wyście mnie wybrali, ale jam was wybrał" — i te Jego słowa przedrukowuje się na obrazkach rozdawanych na pamiątkę prymicji. Mają więc jakiś związek z sakramentem kapłaństwa, a dla księży wszystko jest sakramentem kapłaństwa, tak samo jak dla księdza Siwca. Ale Chrystus powiedział te słowa tylko raz i do konkretnych ludzi, których znał jak własną kieszeń. Więc każdy następny, kto je brał do siebie, brał je z pewnym dodatkiem — poczucia własnej wartości. Ale to była pycha! Niebywała pycha, uznać, że akurat mnie a nie kogo innego Bóg sobie upatrzył. Skąd taka pewność, u diabła? I po co jeździć na kółkach z poczuciem, że się obwozi sakrament, co jest piekielnie krępujące, zamiast katulać się gładko z roku na rok z prostym i jasnym przekonaniem, że się obwozi pozostałości po dwóch nogach, co jest stanowczo mniej krępujące.

Chyba, że ksiądz Siwiec chciał coś innego przez to powiedzieć. Ale w takim razie — co?

No, nie pora była pytać o to, kiedy stał się taki zazdrosny. Zazdrość — afekt oślepiający i dopóki trwa, starszego brata stać na każde łgarstwo.

Tak więc Mikołaj wielce się ucieszył, kiedy mu grypa przeszła, i skierował swój wózek w stronę apteki. A wózek miał lot rydwanu.

5

BYŁA bardzo poważna i napisała mu na proszkach, żeby przyjechał wieczorem do apteki (tylnymi drzwiami), gdzie dzisiaj robi lekarstwa, bo ojciec wyjechał do Warszawy. Mikołaj wyrzucał sobie podłość, ale wziął do portfela rozetę księdza Siwca.

— Przede wszystkim chciałabym cię przeprosić — powiedziała znad jakiejś tykwy czy innego garnka, w którym ucierała maść.

— Za co? — zdumiał się Mikołaj i wyjął rękę z kieszeni puszczając portfel.

— No, za to buzi-buzi. I nie mówmy więcej o tym.

— Więc o czym mamy mówić? — spytał zły, że tu w ogóle przyjechał. — O pigułkach?

Nie podjęła zaczepki. Wierzchem dłoni odsunęła kosmyk włosów z czoła. Była śmiertelnie poważna.

— Opowiedz mi coś.

I znów pochyliła się nad tą paskudną tykwą.

Cholera go brała od tego wszystkiego i od tych jakichś smrodów amoniakalnych, które gnieździły się w tym pokoju za apteką. Patrzył na jej umazane palce i jednak nie mógł zaprzeczyć, że jest śliczna w tym białym fartuchu, z lekką zmarszczką na czole i skupioną twarzą. Włosy umykały jej spod czepka, ładne, mocne, o kasztanowym odcieniu. Silniej się zaczerwieniła niż przed kilkunastoma minutami, kiedy pokazał się we drzwiach.

— No, albo opowiadaj, albo wynoś się. Nie cierpię, jak mi przy robocie ktoś gapi się na palce.

— Proszę bardzo — powiedział Mikołaj i skierował swój fotel do wyjścia.

— Jesteś głupi — powiedziała. — A zresztą sam nie wyjedziesz z domu. Mam klucz od drzwi. Opowiadaj...

Już ja ci opowiem — myślał Mikołaj. — Już ja ci, dziewczyneczko, opowiem. Że rzucisz tę robotę i będziesz mnie słuchać z otwartymi ustami.

Opowiem ci, jak to obcinają nogi w szpitalu. To nie nowe? Tak? No, a jak człowiek jest zgangrenowany, co? Zgangrenowany, panienko. Nie, nie było penicyliny... Najpierw milczy i zaciska zęby, a potem wyje z bólu, a potem wszystko mu się we łbie miesza i chce tylko pić, pić, aż wpadnie głową do wielkiego dzwonu, który jest i mglisty i kryształowy i wierci się w strasznej ciszy jak karuzela i jest coraz większy, coraz przestrzenniejszy, i jest już samą przestrzenią, samym światłem wirującym i już ciebie nie ma, jest tylko światło, samo światło... aż cię stamtąd wyciągną za nogi. Obetną co trzeba. I znów jesteś na ziemi, bo ci pompują krew z zażywnej sanitariuszki, która ma dobre serce. Pompują po raz trzeci.

I zostajesz na kółkach. I dziewczyna, która była twoją dziewczyną, zostawia ci fotografię z pięknym podpisem: Mikusiowi... tego owego. I wszyscy się kleją do ciebie ze swoją śmierdzącą litością. I gnają cię nad rzekę. Nocą. A rzeka rwie się do morza. I masz wszystkiego dosyć, tylko nie tej rzeki. I nawet tu ci przeszkodzą. Trafi się kretyn, Madej, w ę g o r z y s t a. I pogna cię z powrotem. I będziesz się katulał nowych sześć lat na kółkach. Sam jak ten palec na całym świecie. Nawet matka cię nie dosięgnie. Tylko cień zawsze dosięgnie. Dopadnie w każdej chwili. I będziesz chciał rozprostować palce... I tylko raz zapomnisz, że nie masz nóg, z trwogi, że babka... pobije salaterkę!

— Wypuść mnie stąd! Ty... No już!

Zerwała się ze stołka, gdzie siedziała blada i zasłuchana. Schwyciła go za ręce.

— Mikołaj, zlituj się. Odpocznij trochę...

Szarpał się z nią, a kiedy wyrwał z jej uścisku ręce, powiedziała:

— Zrobię ci herbaty.

— Udław się swoją herbatą!

Wyjął chusteczkę i zaczął starannie wycierać nadgarstki i dłonie umazane maścią. Narzuciła płaszcz na ramiona i otworzyła drzwi.

— Pójdę z tobą — poprosiła.

Nic nie odpowiedział, tylko turlał się ogromny, pochylony — przez uśpione miasteczko. Nie podziękował, kiedy uchyliła mu furtkę do plebanijnego sadu. Nawet nie skinął głową.

6

ODRODZIŁA się spółdzielnia pod gruszą. Pracowali od rana aż do zachodu słońca. Na deszcz i burzę przenosili się do plebanii. A potem wracali między świeżą trawę i nawisłe od kropli gałęzie. Ostatnie chmury uciekały nicbem i musujący błękit nad nimi spajała mocna jak obręcz tęcza. Jaskółki świetnie się czuły w tej całej bani.

— Nie trzeba niczego uświęcać — mówił ksiądz Siwiec. — Bo wszystko zostało już dawno uświęcone, braciszku.

— Nawet krematoria? — spytał Mikołaj.

Ksiądz Siwiec popatrzył w oczy młodszemu bratu i na moment źrenice mu się zapaliły.

— One przede wszystkim — odparł.

Mikołaj wyjął mu z rąk gołąbka, wziął nożyce i obciął gołąbkowi łebek. Resztkę oddał starszemu bratu.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zdumiał się ksiądz Siwiec i zaopiekował resztką po gołąbku.

— Nic od siebie. To Chrystus: „M i ł o s i e r d z i a chcę a n i e o f i a r y. Bom nie przyszedł wzywać sprawiedliwych..."

— Bene. Zaczynasz rozumieć Ewangelię, braciszku — powiedział ksiądz Siwiec. — Ale nie od tego końca... Każdy, kto tam szedł, rozumiesz, do ostatka bił się o tych, co go pędzili. To była właśnie próba miłosierdzia.

— I kosztowała sterty dziecięcych bucików.

— Nie! Bo już więcej nikogo nie popędzą... .

— Myśli ksiądz?

— Ja nie myślę. Ja ci to m ó w i ę!

Spółdzielnia nie pamiętała nigdy takich dobrych czasów. Babka pakowała towar i miała pełne ręce roboty. Przestańcie się tak spieszyć — mówiła Mikołajowi — bo mi już dawno szkiełek nie starcza na naklejanie. — No, to niech babcia założy magazyn. Aż przyszedł kiedyś chłopina, stary i wąsaty. Pokazywał swoje kogutki, serwetki i wzory na ścianę. Powiadał, że on już tak pięćdziesiąt lat, ale tylko zimą, kiedy nie ma roboty w polu. I tego lata ludzie przestali od niego kupować. Chyba wstrzymamy produkcję — powiedział Mikołaj. Ale ksiądz Siwiec się nie zgodził. Bracie, niech posyła do Warszawy. Dam mu adres. Tam na pewno kupią.

Więc szedł dzień za dniem pod gruszą, która rodziła dobre, soczyste owoce. Ksiądz Siwiec odmłodniał i napomknął któregoś ranka, że chyba wstawi sobie zęby. Popijali dzbankami ciepłe mleko, a Mikołaj palił papierosy. Dużo tych papierosów palił. Święty Benedykt powiada — tak przynajmniej utrzymywał ksiądz Siwiec — że nie ma grzechu w winie. I jeśli bracia chcą je pić, niech piją. Ale grzech jest w pijaństwie...

Jednak przyszła. Nad samym wieczorem. Zwykłego dnia, kiedy już dawno zwątpił. I usiadła na stołeczku księdza Siwca, który poszedł podcinać kwiaty.

— Czego chcesz?

— Nic. Popatrzyć...

Więc siedział i spokojnie prowadził przez papier nożyce. Wiatr przyniósł dźwięk organów nieszpornych. Myślał, że zaraz powie: kalikuje przeciwko rewolucji — ale nie powiedziała. Siedziała z rękami opuszczonymi między kolana, jak dziewczyna, która wróciła z pola i nie chce nic mówić, chce tylko sobie odpocząć. Milczeli. Wiatr szeleścił w gałęziach i podbierał ulom wonny zapach miodu.

Aż na ścieżce pokazał się ksiądz Siwiec i przetarł oczy.

Nie pozwoliła mu uciec. Podbiegła i za rękę przyprowadziła go do stołeczka. Usiadł, paskudnie skonfudowany. Kręcił coś tam nożycami, składał i rozkładał... Każdy by dostrzegł, że wstyd mu przy niej wycinać gołąbki. Mikołaj popatrzył na nią zimno i źle. Jesteś bezczelna. Powinnaś odejść. Ale wytrzymała to spojrzenie i nie spuściła oczu. Wziął więc na siebie obowiązek skrócenia męki starszego brata.

— Ta pani uważa — powiedział — że moje gołąbki są do niczego w porównaniu z t y m i.

I pokazał na dowód jednego z gołąbków księdza Siwca.

— Nie kuś — szepnął patrząc w ziemię ksiądz Siwiec — abyś nie był kuszony.

Gołąbek sfrunął w trawę. Mikołaj sięgnął w zanadrze, wyjął portfel, pieczołowicie rozłożył tekturki i wyciągając ręce powiedział:

— Proszę, niech pani popatrzy.

A była to rozeta cudniejsza od wszelkich sztuczek pajęczych. I dziewczyna nic innego nie umiała powiedzieć tylko tyle, co kiedyś Mikołaj.

— Mój Boże...

Ksiądz Siwiec uniósł głowę i na jego zmarszczonej twarzy pojawiła się duma budowniczych katedry w Chartres.

— Niech pani to weźmie — powiedział Mikołaj. — Od nas... Pani się zna na sztuce.

— Dziękuję — powiedziała dziewczyna i odpięła torebkę.

Ksiądz Siwiec wyciągnął rękę, ale pogładził się nią po włosach. Zwiesił głowę. Zgarbiony i maleńki. Stary ptaszek. Siedział tak nastroszony. Zły. Jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Pofrunąć?... I nagle zaczął gwizdać. Był to jakiś marsz, w miarę skoczny i w miarę dostojny. Ale słychać było, że gwiżdże go z wielką złością. Dziewczyna przysłuchiwała się z uśmiechem w oczach.

— To nie tak — powiedziała. — Tu się ksiądz pomylił.

I zagwizdała na nowo tę samą frazę. Ksiądz Siwiec zamrugał oczami, jeszcze bardziej się nastrożył i... razem zaczęli od początku. Był to naprawdę ładny marsz. I Mikołaj się bał, że ten rzępoła kościelny wskoczy tu zaraz ze swoimi organami. Ale nie wskoczył. Tylko ksiądz Siwiec urwał nagle, rzucił na ziemię nożyce i odszedł bez słowa. Patrzyła za nim smutna, z pobladłą twarzą. A potem usiadła na stołeczku.

— Co to było? — spytał cicho Mikołaj.

— No, mój drogi — i uśmiechnęła się. — Marsz weselny Mendelsohna.

7

CHODZILI co wieczór na drogę za cegielnią. I były to długie, bardzo długie spacery. Taki ciepły wrzesień. Czasem zostawiał kołowrotek i siedział zapatrzony z ramionami pod głową, a ona pomalutku powoziła jego fotelem; kiedy się zmęczyła, pochylała się i całowała go we włosy. Ludzie ich znali na tej drodze i z daleka zdejmowali czapki. Ale to była najładniejsza droga, bo mało tu było tych ludzi. I świerszcze sobie dzwoniły i kumkały żaby. Nie było smutno na tej drodze. Topole wirowały jak frygi. Jak cudne Maje ubrane. I księżyc przyglądał się z dala.

I nie ma się czym martwić. Bo ojciec naprawdę nie będzie miał nic przeciwko temu. On tylko tak wygląda jak zbój z rozkudłaną głową. Bo on nie może zapomnieć matki. Myśli, że była z nim bardzo nieszczęśliwa, bo nie chciała za niego wyjść za mąż i musiał ją długo, długo namawiać. I dlatego powiedział kiedyś: Każda kobieta powinna wybrać sobie sama...

Czy może być taka droga? I księżyc, i topole? O tak, kiedyś się pojedzie na studia. Budowa maszyn okrętowych. Wielkie morze. Prawdziwe morze. Rozumiesz, kapitan Mac Whirr dał sobie radę z tajfunem na stokroć gorszych maszynach! Jest. Jest ta droga. I księżyc. I topole.

A ty jesteś Tristan, jak Boga kocham.

8

WRACALI już do domu i spieszyli się, bo było bardzo późno. Księżyc dobrze świecił, więc dziewczyna szła szparko, a on nadążał obok na kołowrotku.

— Jutro — powiedziała — przyjedzie tu mój narzeczony, ale nic się nie bój.

— Co takiego?!

— Czy to takie dziwne...

Mikołaj zahamował i opuścił ręce.

— Stój. Nic mi o tym nie mówiłaś.

— Bo i po co? On jest doktorant.

— No to co?

— No, to dziwne, że w ogóle do mnie przyjeżdża.

— Więc jeszcze nie przyjeżdżał?

— Nie. Odkąd wróciłam tu z Warszawy — nie.

— Przez dwa lata ani razu się nie pokazał?

— Ani razu.

— Taki to i narzeczony — mruknął Mikołaj.

— No widzisz. On jest doktorant. On jest przede wszystkim doktorant. On jest medycyna. On najpierw chce skończyć swoje studia a potem się ożenić.

— Z tobą?

— No, w tym wypadku ze mną... Choć mnie się wydaje, że jemu jest naprawdę wszystko jedno z kim. No, ale to jeszcze muszę sprawdzić.

Pocałowała go w usta i poklepała w policzek.

— Dobranoc. Muszę być na jutro wyspana.

Pobiegła i z gęstniejącej ciemności doszedł go jeszcze jej głos: — Poznasz go.

Istotnie — poznał. Wściekł się i czekając na wizytę kazał matce podać pod gruszę wazę owoców, ciastka i dwie butelki omszałego wina. Starszego brata przeprosił bezceremonialnie: Mam dzisiaj gości, proszę księdza. A wikaremu kazał wypłacić żywą gotówką trzysta złotych za wino ku cichemu przerażeniu babki.

— Więc pan pisze pracę doktorską? — pytał wściekły i zły na dziewczynę, że siedzi sobie i myśli o gruszkach na wierzbie, albo z ukosa im obu się przygląda.

A przystojny medyk podnosił na niego siwe oczy i mówił:

— Istotnie. Praca nosi tytuł: „Wpływ plemników na obroty ciał niebieskich".

Mikołaj wypluł z ust wino.

— Jestem za stary na takie ginekologiczne dowcipy.

— Żleś pan trafił — powiedział medyk. — Byłem... chirurgiem. — I nagle smutno się uśmiechnął znad płowego wąsa: — A ile ma pan lat?

— O to niech pan pyta pacjentów.

— No bo intelekt — powiedział nie zrażając się medyk — pan ma dziecięcy. Ta skłonność do widzenia wszystkiego na opak.

— Nie zdążyłem go sobie popsuć — mruknął Mikołaj.

— Zapominasz, Marek, że rozmawiasz z artystą — wtrąciła dziewczyna. Bodaj by ją diabli wzięli.

Medyk błysnął zdrowymi zębami.

— Ty jesteś niebywała! Ty w każdej dziurze odkryjesz geniusza, Jasieńko.

— Odkryję albo nie odkryję — powiedziała pojednawczo i wszystkim nalała wina.

— O, do diabła, to jest burgund, albo calvados, albo coś jeszcze lepszego — powiedział medyk z miną kipera.

— Whisky — wyjaśnił Mikołaj.

Przyszły doktorant złapał się za brzuch i chwilę przewracał oczami.

— Panie, pan jesteś chodzący dowcip! To jest, chciałem rzec, jeżdżący dowcip. Przepraszam.

Dziewczyna się skrzywiła. A Mikołaj pobladł.

— Nie powinieneś pić tego wina, Marek. Masz za słabą głowę

Medyk otarł pot z czoła i uśmiechnął się bezradnie.

— Słusznie — powiedział. — Przepraszam.

I skinął głową dziewczynie.

Zamilkli. Nie w smak było im wino, owoce i ciastka. Pili, bo cóż mieli robić. Mikołaj postanowił, że nigdy nie daruje dziewczynie, że mu tu przyprowadziła narzeczonego. Tego durnia. Tego medyka od siedmiu boleści, nadzianego pychą jak kapłon. Co ona w nim widziała? Siwe oczy i kawał płowego wąsa? Pańskie maniery i pretensje? Zaszczytny doktorat, klinikę i własny samochód? Czy tylko dwie nogi i dwie ręce. Czy tylko wszystko — na miejscu?...

— Pójdziemy, Jasiu? — spytał medyk.

— Och, jeszcze nie — powiedziała — tu takie dobre powietrze. Nie czujesz?

— Czuję — mruknął młody człowiek. Przyjrzał się jej i czegoś posmutniał. Wziął kieliszek. Wypił.

— Nalej panu... jeszcze — powiedział Mikołaj odstawiając na bok próżną butelkę.

Dziewczyna się uśmiechnęła i wzięła nową, omszałą butlę. Medyk podstawiając kieliszek wlepił w dziewczynę oczy. Potem tak dziwnie zastrzygł wąsem i wypił.

Milczeli i nagle Mikołaj zrozumiał, że medycyna z uśmiechem mu się przygląda. Był to uśmiech dziwny, niby to ludzki, ale mętny.

— Mam do pana dużą prośbę — powiedział bardzo wolno. — Jestem chirurgiem. Czy ja to panu mówiłem? — Rozejrzał się bezradnie. — Może i mówiłem... Pan pozwoli obejrzeć sobie nogi?

Mikołaj spurpurowiał. Dziewczyna zerwała się ze stołeczka. Zacisnął ręce na krawędziach fotela. Patrzyła mu prosto w oczy. Nigdy jeszcze nie patrzyli sobie tak prosto w oczy. Dyszał. Czuł, że blednie.

Pochylił się ciężko, odsunął na bok koc i zaczął starannie odpinać agrafki u zagiętych nogawek spodni.

9

TO poszło łatwo. Bardzo łatwo. Mówiła, że to on przede wszystkim pomógł jej spławić Marka, który jeszcze tego samego dnia odjechał popołudniowym pociągiem do Warszawy. Trochę był podpity, słusznie. Może nawet bardzo. Ale potym — rozumiesz potym nie było sensu go pytać, czemu się chce ze mną żenić. Nie było sensu z nim rozmawiać. To był medyk przede wszystkim. To była chirurgia. A ona nie ma zamiaru wychodzić za mąż za chirurgię.

W ogóle była przesadnie rozmowna tego wieczoru. Mikołaj milczał i kręcił kołowrotkiem. Szła obok, zaróżowiona, lekka i przyjmowała wiatr na wysunięte piersi. Jechali drogą wśród topól a potem skręcili w zachodzące słońce. Minęli puste pola po zżętej pszenicy. Mikołajowi zdawało się, że widzi babie lato, ale to chyba była omyłka. Minęli jedną łąkę i drugą, aż wjechali miedzą tam, gdzie stały kopice siana. Nie spostrzegli się, kiedy tam wjechali i stanęli zdumieni przed zaciszną niszą w napół zwalonym stogu.

Popatrzyli sobie w oczy. Mikołaj zdjął z oparcia koc i rzucił na siano. Dziewczyna rozłożyła go w niszy i nagarnęła siana pod wezgłowie. Wokół — jak okiem rzucić — nie było nikogo. Usiadła i naciągnęła spódnicę aż po kostki.

— Pomóc ci? — spytała.

Mikołaj się uśmiechnął.

— Poczekaj. Sztuka magika.

Zrobił skręt tułowiem, wsparł dłonie o poręcz fotela, aż mu żyły nabrzmiały na karku i na rękach, podbił się i skoczył. Usiadł z impetem ale zgrabnie w siano. Dziewczyna się roześmiała.

— No, żebym ja ci nie zaczęła pokazywać sztuczek magika. Swietnieś to zrobił.

— O — powiedział z dumą — chodziłem kiedyś doskonale na rękach.

— Lubiłeś sport? — spytała.

— Bardzo.

— Ja też. I pewnie grałeś w nożną?

— Zgadłaś.

— Bardzo ci było szkoda?

— Czego?

— No, futbolu.

— Nie. Najmniej ze wszystkiego.

Zamilkli. To jest jedyny zapach — zapach siana. Patrzyli w niebo. Mikołaj słuchał, jak mu serce wali. Niebo było w smugach czerwieni. I skądś z bardzo daleka szedł ledwie dosłyszalny dźwięk dzwonów. I ten zapach. Oto kończył się dzień. Gdzieś tam ludzie szli na nieszpory. Słońce zachodziło. Taki ciepły wrzesień. Zamknął oczy. Siano.

— No — powiedziała cicho — masz wreszcie Mają rozebraną.

Spała. Leżał na wznak, z ramionami pod głową. Patrzył w bardzo głupi księżyc. I nie wiedział, że się modli. Powtarzał wolno słowo po słowie, tak jak się mówi: dzień dobry, tak jak się mówi: dobranoc. Ojcze Nasz. Dobranoc.

Umyli się rosą. Janka dla rozgrzewki się wygimnastykowała. A Mikołaj na ścieżce ćwiczył chodzenie na rękach, ale było za ślisko. Potem wytrzepali koc i złożyli go pięknie na oparciu fotela. Mikołaj pokazał nową sztuczkę ze wskakiwaniem i pojechali w stronę topolowej alei. Ludzie szli kopać ziemniaki i machali im z dala rękami.

— To co... — powiedział Mikołaj kręcąc jak opętany kołowrotkiem. — To mógłbym porozmawiać ze starszym bratem?

— Tak by wypadało.

10

...OTÓŻ wśród siedmiu sakramentów świętych jest na pewno sakrament małżeństwa. To jest wszystkim znany sakrament i nie trzeba go wymyślać, tak jak sakramentu kalectwa. Jest to bardziej sakrament wyboru niż wszystkie inne sakramenty. Choć ten dureń mówi, że tu nie ma co wybierać... A z kalectwem to jest tak. Bardzo prosto. To jest też sakrament wyboru, ale trochę na opak i dlatego dobrze i prosto. To jest sakrament zgody na wybór, braciszku. Qui Unigenitum tuum in cruce pendentem lancea militis transfigi voluisti... Co znaczy? Ty chciałeś, by Jednorodzonego Syna Twego, wiszącego na krzyżu, włócznia żołnierza przebiła.... Bóg upatrzył dla ludzi kalectwo. Czemu? To Jego tajemnica. Tylko dureń myśli, że nie ma tajemnic na ziemi.

Nie wyście mnie wybrali, braciszku, ale jam was wybrał. I nie ma w tym żadnej pychy. A dlaczego? Bo Chrystus wybrał apostołów, choć wiedział, że byli grosza nie warci. Miał tylko pewność, że jedenastu z nich obejdzie się bez laski, trzosa i sandałów. I że tylko potrzykroć się go zaprą... Gdzie tu miejsce na pychę, braciszku? Każdy z nas brzydko pachnie i co tu zrobić, że nosi przy tym iskrę Bożą...

Tak mówił ksiądz Siwiec pod starą gruszą, która rodziła soczyste owoce.

11

DZIEWCZYNA z listem. Blada jak nigdy, z podkrążonymi oczami. Że nie spała całą noc. Jak można spać? No, niech Mikołaj sam powie, czy można. Histeria. A jak ktoś jest zgangrenowany... co? Ktoś obok zgangrenowany, chłopcze. Najpierw zaciska zęby... Ciągle zaciska zęby... I chce mu się tylko pić... Więc pije: kieliszek za kieliszkiem. Calvados, burgund, stare wino, nie?... Wódę! Wódę i spirytus. Bydlę nie chirurg, tak? A jeśli mu ktoś pod nożem... Bliski. Bardzo. Taki bliski, że warto litr za litrem... maladie bleu: Och, to nie wino, to taka choroba, uraz serca. Tak, wada. Poprawnie: wada serca. Wrodzona. Ktoś taki jak siostra. Młodsza siostra, którą się wychowywało. Pianistka. Ładna, mądra dziewczyna z maladie bleu. Czasem warto zostać chirurgią. Bo medycyna uczy, że będzie żyła najwyżej dwadzieścia pięć lat... Tysiąc skryptów, tysiąc ksiąg. I skalpel. Oko i ręka, żeby nigdy nie drgnęła.. Koszały, opały.

— Pamięć nie oko! Czemu ci to bydle nic nie powiedziało?

— Żeby udowodnić, że nie jest bydle.

— A jak ty byś nazwała takiego chirurga? Po tym, co?

Schyliła głowę i siedziała z rękami opuszczonymi między kolana. Histeryczka na odpoczynku.

— A jeśli... Mikołaj, no, jeśli on chciał na tobie... odzyskać wiarę w chirurgię?

— Na mnie? Miał trupa. W prosektorium miał wiarę w chirurgię! A jak nie, to... czyścić wychodki! Zbożna praca, lepsza od aniołków.

— Mikołaj...

— Po co te miny? Mów ludzkim głosem. — Odrzucił papierosa w trawę. — Mów: co ja jestem temu winien?

Popatrzyła na niego ze smutnym uśmiechem.

— Ty... nic.

Schylił głowę i zwiesił zaciśnięte pięści, jak wtedy, kiedy tamten pchał mu się do nóg ze swoimi ciekawskimi oczami. To była jedna bzdura. Od początku do końca. Sześć lat.

— Mikołaj...

— Czego chcesz?

— Ja muszę do niego pojechać.

Milczał i bladł coraz bardziej.

— On był, wierz mi, zdolnym chirurgiem. I teraz...

— Będzie ginekologiem albo innym diabłem!

— Skąd wiesz, że będzie? On ma słabą głowę. Nie pamiętasz?

— No, to ma jedyną okazję w życiu, żeby ją sobie wzmocnić!

— To okrucieństwo, Mikołaj.

— A ty z czym do niego chcesz jechać — spytał i skrzywił wargi — z litością?

Wstała. Wyciągnęła rękę, tak jakby chciała wsunąć mu ją znanym ruchem we włosy.

— Pieszczoty na potem — powiedział Mikołaj. — Nie dotykaj!

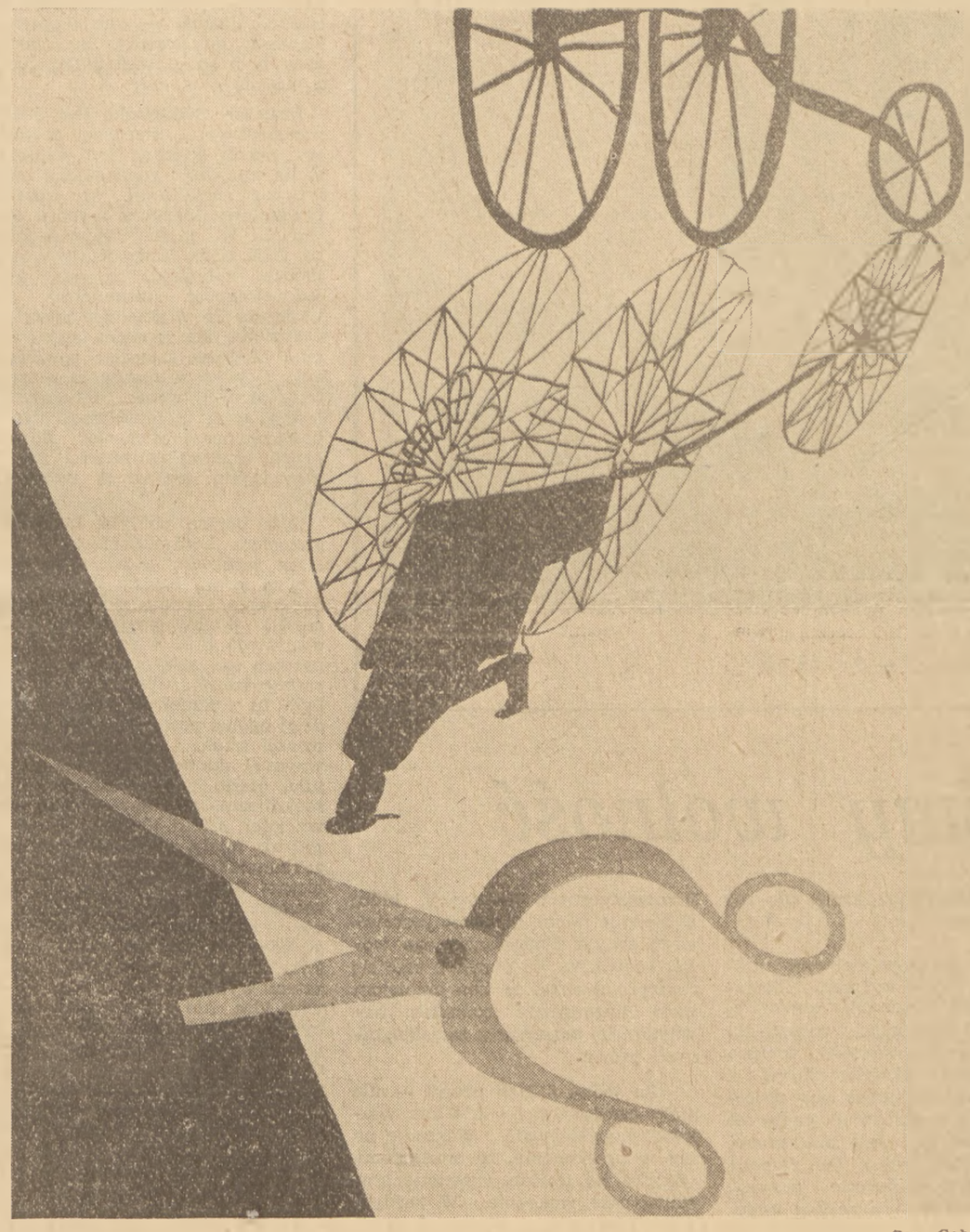

Rys. Gabriel Rechowicz

Tak. Dziewięć lat pracy... Z początkiem na tajnym komplecie. Kilkaset godzin prosektorium. Słusznie, to nie ma nic do rzeczy. Ale skąd w takim razie wyjazd do Francji, do Szwecji, co? Te dwa lata, jak się tu nie pokazywał. Nie, nie żeby zaimponować, żeby się dobrze nauczyć otwierać klatkę piersiową... Ciebie to nic nie obchodzi? Maladie... bluff?! Przeczytaj... Nic mi z tego nie powiedział. Nic nigdy... Przeczytaj.

Medyk raczył spieprzyć operację. Przed trzema miesiącami wyprawił swoją siostrzyczkę na ksluty do aniołków. Na przygotowanie jej do podróży potrzebował tylko dziewięciu lat. Więc teraz od trzech miesięcy oblewa ten interes. Razem z życzliwym koleżką, który pisuje rzewne listy do jego narzeczonej! I płacze, bydlak, nad poszkodowaną chirurgią... Jak się obejdzie bez takiej przyszłej sławy, która potrafi spieprzyć operację serca, choć się przedtem Crawfordowi patrzyła na palce!

Mikołaj targnął kołnierzykiem aż guzik odskoczył w trawę.

— Boże, co za dureń! Jak on śmiał wziąć na stół własną siostrę!

— Nie wiem... Może dlatego, że się nią od dziecka opiekował... Rodzice poszli do pieca...

Mikołaj wyjął papierosa i nie częstując jej, zapalił. Zaciągał się mocno.

— Żydzi?

— Masz dobre oko.

Siedział nieporuszony z papierosem w ustach. Powoli zaczął go gryźć. Widziała, jak mu mięśnie chodzą na szczękach.

Zacisnęła palce, aż kostki zbieleły do cna.

— Przecież on jest sam — powiedziała — Mikołaj... jak ten palec na całym świecie.

— To już cała edukacja, panienko?

— Tak. Wystarczy.

Mikołaj spojrzał jej prosto w oczy.

— Wystarczy dla... żoneczki?

Widział, jak bladła tak bardzo, że już bardziej zblednąć nie można. Przełknęła ślinę.

— Jeśli tego zechce... — powiedziała.

Och, jak mu było dobrze z rozpiętym kołnierzykiem. I ciasny guzik leżał w trawie. No tak, nożyce. Że tak trudno zwyczajnie wsadzić palce w nożyce. Ale papier wziąć już łatwiej. Wycinał powoli, starannie.

— Mikołaj, zrozum, ja tylko ciebie...

— Tak jak kogutka — wtrącił nie podnosząc oczu.

— Nie! Jak siebie samą.

— Ja ciebie też — i powolny uśmiech wykrzywił mu wargi — tak jak dom publiczny dla połamańców.

Miała jednak diabelnie krzywe nogi i była okrutnie śmieszna, jak pędziła na tych nogach do furtki, a wiatr jej spódnicę podkasywał. Obrażona kaczka. No, księże Siwcze, w czas się ksiądz wybrał z błogosławieństwem. O rany, krzyżyk i ta uduchowiona mina!

Bo szmergiel stał na ścieżce i kreślił krzyżyki. Jeden, drugi. I za chybocącą furtką. Trzeci. I nad Madejem, który w tej furtce stanął, jak tylko kaczka wybiegła.

Czwarty. Więc Madej odstawił kosz z rybami, zdjął starą czapkę z głowy i szeroko się przeżegnał.

Mikołaj wbił nozyce w pień gruszy.

— Powinieneś pójść do domu... starców! — zawołał.

Ksiądz Siwiec drgnął i z wyżyn błogosławieństwa przydreptał z nadstawionym uchem.

— Dokąd, bracie? — zapytał.

— Do domu... wariatów — szepnął Mikołaj.

Bo wtedy poszedł do nich z koszem Madej i powiedział:

— Pochwalony, niepozbroszczu. Przyniosłem proboszczowi trochę rybek.

12

NOC. Ostatnia. I wszyscy spali. Zaraz zaczną piać koguty. Grusza szumiała jak rzeka. Czarna. Spłakał się do ostatka i nic mu nie pozostawało, tylko wziąć za kołowrotek i pojechać prosto za furtę.

— Poczekaj.

Więc tylko ona nie spała.

Z trudem odsunął jej ręce.

— Ty już raz mi przeszkodziłaś. Odejdź. Zostaw mnie samego.

— Poczekaj. Nie znajdziesz chwili dla matki?

Zdumiał się. Jak bardzo rzadko z nią rozmawiał. Nigdy z nią nie rozmawiał tak, jak z księdzem Siwcem, babką czy Krystyną. Dziwne — nie mieli sobie nic do powiedzenia. Że pogoda, że obiad i czy kółka u fotela naoliwione. Teraz było za późno.

— Słucham.

Po omacku naciągnęła mu koc na ramiona. Przyniosła skądś tam stołeczek, na którym musiała siedzieć tę całą noc za jego plecami. Usiadła. Wzięła jego dłoń w swoje ręce. Mikuś. Synek. Gwiazdy już się przesypywały i na wschodzie niebo wolno, wolno bladło.

— To był mus. Ot co.

— Po co? Żeby mogła polecieć ze swoją litością?... A uczyłem ją, że połamańcom litość na nic nie jest potrzebna! Na nic.

— Tobie nie była potrzebna?

— Była. Na wymioty.

— A skąd wiesz, że innym nie smakuje zamiast chleba?

— Nie wiem.

— No więc?... Jemu trzeba pomocy.

— Skąd wiesz?

— Wiem... Była u mnie.

— Co za świnia... Co za okrutna świnia!

— Och nie, nie myśl... Była z a nim ją przepędziłeś z sadu. I ksiądz Siwiec usiadł sobie w kącie... Kto wie, czemu on płakał?

Niebo całkiem pobladło. Lekki wiatr poruszył gruszą. Mikołaj przesunął dłonią po włosach, a potem obrócił się, sięgnął ręką i wyciągnął z drzewa wbite nożyce. Przyglądał się im.

Matka wstała.

— Popatrz mi w oczy.

— Czego?

Wzięła go pod brodę.

Patrzyli sobie w oczy.

Ten krótki meski, błysk: miałeś ją! Nie wytrzymał.

Siedział ze zwieszoną na piersi głową. A potem wolno uniósł powieki i w bladym poblasku nieba zobaczył jej twarz. Mocno, mocno zniszczoną i niewyspaną. Z podkrążonymi oczami. Siedziała z powrotem na swoim stołeczku.

— Słyszysz? Ptaki śpiewają... To wilgi.

Machnął ręką.

— Czego poleciała? Powiedz.

— Bo musiała. Ona jedna.

— Czego?

— Bo musiała!

Przyjrzał się jej uważnie. Klepie jak papuga. Gada jak ją nakręcili. Musiała! Co znaczy — musiała? Powiódł palcami po nożycach aż do ostrzy lepkich od soku. I przypomniał mu się ten dzień, kiedy ze starszym bratem rozmawiali pod gruszą. Pierwszy raz. Ta jego niewydarzona modlitwa i to wszystko, co mówił od rzeczy. Wytarł chustką z soku nożyce. To były twarde słowa. Twardsze niż kapitan Mac Whirr. Najtwardsze, jakie można było powiedzieć.

— Ty moja papużko — szepnął.

— Co mówisz?

— Nic. To ty mówisz jak ksiądz Siwiec za świetym Pawłem!

— Co... ksiądz Siwiec?

— To nie Siwiec, to Paweł: Sumienie niczego mi nie wyrzuca, lecz przez to samo nie jestem usprawiedliwiony.

— Poczekaj — powiedziała matka. — Powtórz.

Więc powtórzył.

— Właśnie — powiedziała. — Właśnie. Chciałam tak powiedzieć, jak święty Paweł.

Czuł, jak mu mięśnie twarzy odpoczywają, układają się zwyczajnie, na codzień.

— Jak myślisz, wróci?

— Janka?

— No chyba, że nie królowa angielska!

Matka popatrzyła na niego i podrapała się w głowę. Z latami nabyła tego głupiego zwyczaju drapania się w głowę, kiedy nie bardzo wiedziała, co ma rzec.

— Może i wróci — zaczęła. — A jakby nie...

Mikołaj pochylił głowę. Ptaki śpiewały jak oszalałe. I w tym świergocie nic już nie umiał pomyśleć, tylko tyle: ten wyleniały kretyn będzie miał taką dziewczynę.

— No to ja już sobie pojadę — powiedział do matki.

— Dokąd?

— Nad rzekę.

Wyciągnęła ręce, jakby go chciała zatrzymać, ale wsunęła je z powrotem w kieszenie płaszcza. Odprowadziła go na koniec sadu i otworzyła furtkę.

— Z Bogiem.

A to może być wielka przyjemność — kręcić kołowrotkiem. Mięśnie się prężą i zaczynają żyć po nieprzespanej nocy Oddech wchodzi w płuca rzeźki od poranku. I nic nie pamięta się z drogi, którą jechało się kiedyś przed sześcioma laty na pierwszy raid na kółkach. Ani tych kamieni, które się uzbierały po bokach. Widocznie tu będą szosę budować. Ani tych wielkich brzóz. Ani wyszczerbionego zjazdu na pomost, że wózek podskakuje jakby dostał febry. No, Madeja to się pamięta. Stoi na końcu pomostu i zaparł się nogami, bo myśli, że go Mikołaj do wody zrzuci. Nie. Nie. Uskoczysz Madeju. Uskoczysz!...

Madej drżącymi palcami ścierał pot z czoła. Niewyspany. Musiał całą noc łowić węgorze.

— Dobra maszyna. Ten wózek — pochwalił i przełknął ślinę. — Hamulce ma pirsza klasa.

Mikołaj siedział oddychając ciężko. Patrzył, jak biała mgła podnosiła się znad wody. A więc tak wygląda koniec pomostu. Deski. Więc tak wygląda rzeka. Inna niż nocą. Starsza o całych sześć lat.

— Nima...? — spytał Madej cicho i urwał.

Cóż to za człowiek ten Madej. Trzcina. Trzcina nad rzeką.

— I... chciałeś się pan tego?...

— Nie, panie Madej. Tyrn razem. nie.

— No to... bierz pan wędkie.

— Dzięki, panie Madej.

Zarzucili. Mgła unosiła się coraz wyżej nad rzeką i Madej wyciągnął z wody małą rybkę. Uśmiechnął się, popluł na nowego robaka i powiedział ni to do siebie, ni to do towarzysza:

— Każdy od człowieka odejdzie, ale ryba od człowieka nie odejdzie.

Świtało.

Ze współczesnej sztuki religijnej

Gino Severini — Św. Antoni

Wybraliśmy wolność

(Dokończenie ze str. 1)

kretnymi procesami społecznymi, a więc i kulturotwórczymi.

Wolność prócz tego, że jest rozumieniem konieczności, jest także prawem wyboru. Wyboru swojego widzenia świata, swojej prawdy o człowieku, swojej metody działania, swojego modelu życia. Istnieje wzajemna korelacja rozumienia konieczności i praw wyboru. Człowiek, chcący prawo wyboru obrócić przeciwko rozumieniu tych konieczności, które służą jego rozwojowi, należy do gatunku *homoidiotus*. Ale człowiekowi, który zamierza ograniczać u drugiego prawo wyboru sztywnym, ciasnym i nadmiernie mechanicznym interpretowaniem konieczności także nie damy tytułu *homo sapiens*. Taka jest według mnie różnica między idiotą a despotą.

Liebert, porając się ze swoimi problemami światopoglądowymi, powiedział w jednym ze swoich pięknych wierszy:

Raz na zawsze dokonawszy wyboru
Każdej chwili wybierać muszę.

Myślał o innej sprawie, ale wolno nam jego słowa zaadresować i do konkretnego problemu socjalizmu. Wybraliśmy socjalizm raz na zawsze. Nie oznacza to jednak, że zwalnia nas to od ciągłego wyboru prawd, które wewnątrz socjalizmu stawia przed nami nasza pasja poznawcza, nasze ambicje twórcze, nasz trud doskonalenia siebie i rzeczy, które kochamy. Kto nam ten wybór utrudnia, czyni źle. Szkodzi socjalizmowi, szkodzi kulturze, okpiwa i ogłupia człowieka.

To, co w naszym życiu, w naszej kulturze okresu powojennego hamowało i utrudniało rozwój słusznych tendencji wewnętrzno-socjalistycznych, miało bardzo często u swych podstaw błąd zacieśnionego rozumienia konieczności, które powinny być zawarte w wolności, ale jako jej życiodajna krew, nie zaś jako toksyny.

DLA mnie najpełniejszym i najdojrzalszym wyrazem ideologicznym mądrego, wewnętrzno - socjalistycznego rozumienia wolności, gwarantującego większą prawidłowość obserwowanych i współtworzonych przez nas procesów jest wieloświatopoglądowość obozu rewolucji. Jest ona prostą konsekwencją prawa do wyboru swej prawdy o świecie, prawdy, która ma prawo — a według mnie: także obowiązek — uczestniczyć w rewolucji. Nie zamierzam opowiadać tu w tej chwili historii ruchu, który jest w warunkach polskich owej wieloświatopoglądowości wyrazem. Mówiłem o tym przy innych okazjach i zdarzą się na pewno jeszcze inne okazje, by do problemów tych wrócić. Jedno co i teraz muszę ze swego stanowiska podkreślić, to przekonanie, że zagadnienie wieloświatopoglądowości obozu socjalizmu, wykazujące w warunkach polskich swą istotność poprzez ruch społecznie postępowy katolików, a w innych warunkach mogące przyjmować inne formy, nie jest zagadnieniem incydentalnym tylko, nie jest efemerydą ideologiczną, lecz jednym z organicznych, z perspektywami rozwoju socjalizmu w Polsce i na świecie immanentnie związanych atrybutów wolności wewnętrzno socjalistycznej, jako jedynej, naszym zdaniem, najpełniejszej wolności, jaką mamy do ofiarowania światu współczesnemu.

Z uporem, godnym takiej sprawy, ponawiam propozycję włączenia tej tezy do dorobku naszych ciągle poszerzających się przecież przemyśleń. Jest to propozycja wynikająca w równej mierze ze zrozumiałej obrony i propagandy (u nas się to nazywa apostolstwo) własnej postawy światopoglądowej, jak i z myśli i walki o coraz szersze, coraz pełniejsze w sensie geograficznym i w sensie humanistycznym zwycięstwo, ekspansję socjalizmu .

Jeśli socjalizm, jeśli kultura socjalistyczna ma zdobywać świat siłą swej atrakcyjności, siłą swych humanistycznych propozycji, które skutecznie muszą stanowić przeciwwagę świata konkurencyjnego wobec socjalizmu, to powinno stać się rzeczą oczywistą, że tym ambicjom musi towarzyszyć rozsądek wewnętrznego poszerzania socjalistycznych prawd.

Za jedną z tych prawd — dla mnie podstawową — uważam wieloświatopoglądowość. Wskazuję na nią w przekonaniu, że zrozumiemy wszyscy jej ważkie, wewnętrznosocjalistyczne znaczenie. W każdym razie: powinniśmy zrozumieć.

Z tym zrozumieniem ciągle jest kiepsko wśród zwolenników monizmu światopoglądowego. Powtarzają natretnie propozycje ujednolicenia podstaw światopoglądowych, nie zrażając się wcale, że *są to propozycje nie do przyjęcia*. Upór ten godny lepszej sprawy, rodzi niezdrową atmosferę koszarów intelektualnych, gdzie wszyscy muszą być ogoleni do metafizycznego zera. Zbyt poważnie traktuję i tę sprawę, i to zgromadzenie, by wdawać się w łatwe polemiki z osobistymi wrogami Pana Boga. Sądzę jednak, że czas tę sprawę ujrzeć w świetle stojących przed nami perspektyw rozwojowych i zastanowić się, o ile dotychczasowe jej, dalekie od mądrości Partii, traktowanie służy, a o ile szkodzi poszerzeniu skali humanistycznych propozycji, z którymi socjalizm wychodzi ku współczesności.

W klimacie stawianych tu przeze mnie tez powinna być łatwiej zrozumiała sugestia, że ów kierunek wzbogacania, wewnętrznej wielorakości socjalizmu służyć może coraz pełniejszemu respektowi dla tego, co wszystkim obradującym nad sprawami kultury musi leżeć na sercu: *dla pełnej odpowiedzialności za swój los i dzieło, powstające w trudzie mądrego, twórczego wyboru.*

Zygmunt Lichniak

Fragmenty przemówienia na XIX Sesji Rady Kultury i Sztuki.

PRZED ROZLEGŁYM OBSZAREM SPORU

(Dokończenie ze str. 1)

czące współczesnego człowieka nie odpowiadała. Nie odpowiadała, bo nie stawiała sobie pytań, bo ich nie znała. Rosł cmentarz artystycznych wraków, umowny świat pozorów. Umowny świat rojeń o przyszłej rzeczywistości, poczęty z niewiedzy o rzeczywistości aktualnej i z braku wyobraźni. Słowa i fakty — nigdy chyba nie były tak poroznione. Im silniej pisarz wierzył prawom historii, tym mniej ufał rzeczywistości. Sztuka podsuwała odbiorcy obraz świata, z jego wiedzą i jego doświadczeniem zasadniczo niezgodny. Dojść musiało do kolizji w tych warunkach nieuniknionej: między prawdą życia a fałszem dzieła. Czytelnik się buntował. Nie wierzył. Nie czytał. Sztuka traciła zaufanie mas. One wcześniej niż wszelkie sesje i zjazdy wydały na twórczość — o dumnej nazwie: socjalistyczna — wyrok potępiający. Oczywiście nie wszyscy artyści poszli na zakłamywanie rzeczywistości czy — w najlepszym razie — mówienie półprawdy. Byli tacy, którzy swego powołania nie zdradzili. Którzy, jak Igor Neverly, nie poszli na kompromis z sumieniem rewolucjonisty. Którzy swym humanistycznym pasjom ideowym — jak Adolf Rudnicki — pozostali wierni. Którzy — jak wielu pisarzy katolickich — o własną wizję świata walczyli. Trzeba o nich pamiętać.

Odzyskać zaufanie jest stokroć mozolniej, niż je stracić. Dzisiaj przywraca się godność faktom i ich realistycznej ocenie. Ze wszystkich dziedzin życia społecznego wypiera się fałszywe mity. I tu dla sztuki — która w utrwalaniu tych mitów ma niemałe zasługi — szansa powrotu. Powrotu do prawdy. Bo „poezja, żeby była sobą, musi dialog toczyć z prawdą".

Profesor Żółkiewski jest jednak nieustępliwy: „...kierunek rozwojowy naszej kultury był właściwy. O ile wytyczało go działanie rewolucyjne, kształtował w zasadzie prawidłowy kierunek wyboru wartości"... W wielu wypowiedziach na XIX Sesji Rady Kultury grały emocje wpływając na ostry ton i jednostronność sformułowań krytycznych. To w polemice rzecz nieunikniona, ale zapewne sporo racji miał Lichniak zalecając powściągliwość i spokój w osądzaniu przeszłości. Jednakże wobec wielu sformułowań prof. Żółkiewskiego trudno powściągliwość zachować. Sformułowań w swej ostrożności już nie rozsądnych, lecz wręcz asekuranckich.

Była błędna polityka kulturalna, atmosfera bezdyskusyjności, atmosfera zaścianka podzielonego jeszcze na getta; błędem było komenderowanie i zurzędniczenie twórczości; wielką pomyłką i wielką nieprawdą była większość dzieł, opartych na fałszywym stosunku do rzeczywistości. Cóż więc, u licha, było tu słuszne? Zapewne najbardziej ogólne postulaty: postulat ideowości sztuki i jej funkcji wychowawczej (której sztuka nie wypełniła, często wręcz szkodząc ideom socjalizmu), postulat poznawczych wartości sztuki (której dzieła na gół nie miały, *vide:* mitologizacja i zakłamanie). „Mamy jasną ideę społecznej funkcji sztuki i nauki zbiorowości budującej socjalizm, funkcję czynnika przekształcającego świadomość ludzką, kształtującego świadomość socjalistyczną, funkcję zatem wychowawczą." Zgoda, jest więc idea. Ale nie ma sztuki, która by wcielała ją w życie, która by wypełniała to wielkie powołanie. Ocena kultury oparta o idee, które wyrazu w niej nie znajdują, a nie o fakty — oceną realistyczną nie jest. To jest rozumowanie idealistyczne. Dlaczego to, co pisze prof. Żółkiewski, jest tak gołosłowne? Ludzie mają dość ogólników, nie wierzą im — łakną faktów. Domagają się konkretnych decyzji. Pamiętają, że po XI Sesji wiele konkretnych postulatów rozpłynęło się w gadulstwie.

Głodu faktów nie zaspokoił również zręczny referat Kotta, opublikowany później w „Przeglądzie Kulturalnym" pt. „Mitologia i prawda". W ciągu godziny padło jedno zaledwie nazwisko — i to pisarza ocenianego przychylnie. Te wersalskie maniery zastanawiają: skąd ci znani przecież z nieprzeciętnego temperamentu polemicznego mówcy i publicysci stali się nagle tak powściągliwi?

Ma po stokroć rację Jan Kott mówiąc, że przyczyn słabości naszej literatury szukać należy nie w fałszywej poetyce — bo to jest kwestia wtórna — ale w fałszywym stosunku do rzeczywistości. Rzeczywistość jest poznawalna poprzez zjawiska, poprzez fakty — to ostateczna instancja każdej interpretacji, każdej próby jej wyjaśnienia. Rzeczywistość wyjaśniania i rozumiana bez analizy faktów to mitologia. I w mitologizacji historii, w mitologizacji rzeczywistości współczesnej widział Jan Kott istotną przyczynę słabości.

Krytyka, żeby była skuteczna, musi być uczciwie doprowadzona do końca. Nie może poprzestać na opisie ogólnych procesów, ogólnych prawidłowości — musi sięgać do faktów i ludzi. I Kott, i Żółkiewski od faktów stronią. Ich krytyka jest krytyka anonimową, eufemiczna. I w tym tkwi groźba nowej mitologii, groźba mitologicznej sugestii, że błędy są niepoznawalne, że odpowiedzialności za nie ustalić nie podobna. Ta mitologia ukrywa sedno prawdy zatrzymując się na pozorach, na ogólnym opisie bez dokładnego rozeznania. Tu znów wypływa kwestia zaufania. Można je pozyskać czy pogłębić wtedy, kiedy ujawni się błędy do końca. Chodzi o to, by słowa „nasza sprawa musi być czysta" nie były nadużywane. Kiedy czyta się artykuły czy słucha wypowiedzi ludzi odpowiedzialnych za naszą politykę kulturalną odnosi się wrażenie, że sofisteria Kazimierza Brandysa spodobała się wielu emerytowanym dziś nadgorliwcom. Każdy z nas miał swoje Grenady i swoich doktorów Faulów. Każdy jakiejś nieuczciwej presji ulegał i takąż presję na kogoś wywierał. Któż może być temu winien? Odpowiedzialność jest wspólna, powszechna. Szukanie winnego w tłumie winnych jest bezcelowe: upodabnia się on do setki innych. Stąd krok do zupełnego rozgrzeszenia. Skoro winni jesteśmy wszyscy, nie jest winny nikt. Odpowiedzialność indywidualna rozpływa się w nieodpowiedzialności zbiorowej. Takie stawianie sprawy jest — jak określił Roman Karst — naruszeniem ładu moralnego i myślę, że wyrażony przez niego protest powinien doczekać się odpowiedzi.

Na XIX Sesji mówiono o potrzebie zmiany tego systemu kierowania kulturą i demokratyzacji tych instytucji, które powołane do tego, by rozwojowi kultury służyć, w rzeczywistości ten rozwój hamowały. Wysuwano propozycje dotyczące umożliwienia różnym grupom artystycznym pełnej swobody wypowiedzi, jakiej dotąd one wobec monopolizacji prasy kulturalnej nia miały.

W wysunięciu tego postulatu i w jego zasadniczej akceptacji widzieć trzeba zapowiedź poszerzenia możliwości wypowiadania się z pozycji wewnętrzno - socjalistycznych tych sił społecznych, które Stefan Kurowski określił jako siły kontrarystyczne. Można się też chyba spodziewać, że jest to zapowiedź poszerzenia swobody wystąpień nie tylko ludzi i grup reprezentujących odmienne przekonania artystyczne, ale także światopoglądowe.

Wspominałem przed chwilą o głosach domagających się większej demokratyzacji instytucji powołanych do służenia i pobudzania rozwoju twórczości. Chciałbym tu zająć się jedną z nich, o której na ostatniej Radzie Kultury nie mówiono. Od kilku lat istnieje u nas instytucja nagród państwowych. Nie będę tu przypominał jej niesławnych początków. Ale chciałbym przypomnieć tu te dzieła, które przez nagrody państwowe były pomijane, te błędy, których dotąd nie naprawiono. Są w naszej literaturze dwa dzieła, które — jeśli można przewidywać — mają największą szansę trwałości, dzieła, które w naszym dziesięcioleciu reprezentują wysokie wartości humanistyczne. To „Bolesław Chrobry" Gołubiewa i „Epoka pieców" Adolfa Rudnickiego. — Są one — jak sądzę — najwyższym w dziesięcioleciu wypełnieniem pisarskiego powołania. Jest u nas takich książek więcej: jest „Popiół i diament", „Pamiątka z Celulozy", „Czarny potok", „Przemija postać świata" czy „Klucz mądrości". Te dzieła stanowią wartości ogólnonarodowe. Ale jest ich mało. Dlatego trzeba je szanować. O nagrodę państwową dla Adolfa Rudnickiego wołano — nie w prasie, broń Boże, tam spotkać można było tylko aprobatę decyzji komitetu powołanego do rozdziału nagród — przez wiele lat daremnie. Wreszcie w roku ubiegłym przyznano mu nagrodę II stopnia *ex aequo* z „Obywatelami" Brandysa i „Rozstajami' Putramenta. Myślę, że to zestawienie tragicznego dzieła Rudnickiego z państwowotwórczym pisarstwem Brandysa nie przynosi chwały instytucji nagród państwowych i stawia pod znakiem zapytania kryteria, jakimi przy ich rozdziale się kierowano. O nagrodę dla Gołubiewa nikt nie wołał. A nawet gdyby wołano, wątpię, czy by mu ją przyznano. Przecież dzieło Gołubiewa od całych lat aż do dzisiaj jest przez prasę niekatolicką — przez organ ZLP, przez organ Rady Kultury i Sztuki, przez krakowskie „Życie Literackie" i inne pisma — przemilczane. To jest nieuczciwe milczenie. Dopóki nie będzie przełamana do końca zasada dyskryminacji dzieł katolickich pisarzy przez przemilczanie — dotąd demokratyzacja instytucji kulturalnych będzie pozorna. Dopóki rozdziałem nagród państwowych nie będą kierowały zasady ogólnokulturalnej wartości — dotąd będzie to instytucja fikcyjna, utwierdzająca fałszywy podział na getta. Nasza kultura jest wieloświatopoglądowa. Autorytet nagród państwowych trzeba podnieść przez uznanie tego faktu. I to jest nasza wspólna sprawa.

DROGI WOLNOŚCI

ISTNIEJE w socjalizmie pewien zakres wartości — chodzi tu o podstawowe idee społeczne rewolucji — których przyjęcie jest warunkiem nie tylko świadomego uczestnictwa w budowie socjalizmu ale i prawa do skutecznego wpływania na jego przyszłość. W skali masowej wybór tych wartości został u nas dokonany, nabrały one powszechnej zobowiązywalności. Wspólne, socjalistyczne cele społeczne są podstawą jedności naszego narodu. Ale stopień akceptacji wartości socjalistycznych jest różny. Trzeba pamiętać, że wielu ludzi od socjalizmu odtrącano, że wielu do socjalizmu zrażano. Że wyrodzony system, zwany metaforycznie kultem jednostki, utożsamiano z rewolucją, uważano za jej konieczną integralną część. Ludzi, którzy wrodzy nie byli, spychano na pozycje w ogie. Przecież nawet jeśli ktoś krytycznie odnosił się do realizmu socjalistycznego, kwestionując jego jedyność jako teorii sztuki socjalistycznej, uznawany był za wroga socjalizmu. Te błędy trzeba teraz naprawić. Te błędy są teraz naprawiane.

Istnieje zakres wartości — chodzi tu przede wszystkim o podstawowe prawdy światopoglądowe, filozoficzne — który może być tylko przedmiotem wolnego wyboru. Są pytania, na które każdy powinien odpowiedzieć sobie sam. Akceptacją głównych idei społecznych rewolucji i realnym wkładem pracy w budowę socjalizmu każdy człowiek zdobywa prawo do swobodnego wyboru światopoglądowego, do samodzielnego szukania prawdy. Do głoszenia i obrony własnej prawdy. W skali masowej chodzi tu o wybór między katolicyzmem a materializmem.

„Wyłącznie marksizm jest kulturą" — powtarza profesor Żółkiewski słowa Sartre'a. Jest to ogólnik, z którym niesposób się zgodzić. Nie o to jednak tu chodzi: co innego znaczy to zdanie w szkicu Sartre'a, co innego w artykule autora, który do ostatka jawnie bronił pozycji dogmatyzmu. Dziś jest to raczej niemodne i profesor Żółkiewski swą nietolerancyjną myśl ukrywa za słowami francuskiego filozofa. Jaka ma być kultura narodu budującego socjalizm? Stefan Żółkiewski przesądził sprawę na rzecz wyłączności światopoglądu marksistowskiego w kulturze współczesnej. Ale pytanie powraca.

Przyszłość kultury socjalistycznej nie jest wewnętrzną sprawą zwolenników światopoglądu materialistycznego. Jeśli mówi się o wiązaniu środowisk twórczych i kultury z narodem, z masami, trzeba te słowa przemyśleć do końca. Kultura narodu budującego socjalizm musi wyrastać z całości jego istotnych potrzeb duchowych i — na miarę swych pełnych możliwości musi je zaspokajać. Jeśli wyrasta z części potrzeb narodu albo z potrzeb części narodu, jest jakąś namiastką. Pytanie: jakie są te istotne potrzeby? Mimo ogromnego wysiłku, jaki włożono w upowszechnienie kultury, to jest wielka niewiadoma. Teraz trzeba ją poznać.

W każdym razie jeden fakt wątpliwości nie ulega: w rewolucji biorą czynny udział masy ludzi wierzących, którzy kształt socjalistyczny wolności widzą w respektowaniu swych przekonań światopoglądowych i swych potrzeb kulturalnych. Prawo do kultury, do zaspokajania istotnych potrzeb duchowych jest dla wszystkich ludzi budujących socjalizm, bez względu na ich wyznanie, równe, bo zdobyte pracą, jednakowym wysiłkiem wierzących i niewierzących. Człowiekowi, który uczestniczy świadomie w budowie socjalizmu, należy się prawo swobodnego wyboru wartości duchowych. Chodzi o to, by o potrzebach duchowych ludzi wierzących, zaangażowanych świadomie w rewolucję, nie decydowano bez nich. Wydaje się, że walka, jaką katolicy społecznie postępowi prowadzą o uwolnienie funkcji społecznej religii z wstecznych uwarunkowań klasowych, i udział mas ludzi wierzących w rewolucyjnej przemianie, uprawniają do wysunięcia tego postulatu.

Marksizm dąży do wyłączności. Ma bardzo poważny atut intelektualny w postaci teorii rozwoju historii i teorii rewolucyjnego przekształcania świata, której słuszność potwierdza szereg zastosowań społecznych. Marksizm dąży do wyłączności w przekonaniu, że potrafi zaspokoić całość potrzeb duchowych człowieka w ustroju bezklasowym. Katolicy, którzy przyjmują założenia ustroju socjalistycznego, czynią to w przekonaniu, że tego wymaga dobro katolicyzmu i dobro rewolucji. Teza o wieloświatopoglądowości obozu socjalistycznego jest wyrazem potrzeb rewolucji. Jest istotnym środkiem pełnej mobilizacji ideowej ludzi wierzących w budowę socjalizmu. Jest wyrazem wolności. Jest wielką szansą ideowej ekspansji.

Unifikacja kultury socjalistycznej może się dokonać na zasadzie akceptacji społecznych treści socjalizmu, na zasadzie opanowania tych możliwości, jakie człowiekowi daje ustrój socjalistyczny. Poza tym rozciągają się rozległe obszary sporu: dziedzina tworzenia i stosowania wartości.

Sławomir Blaut

Redaguje Zespół.
Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15)) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa Marszałkowska 3/5.

Zam. nr 659
B-7-24137

(Dokończenie ze str. 2)

Bürger; oficer „brygad Międzynarodowych" Rudolf Trümmer; żołnierz polskiej partyzantki, Niemiec, Ludwig; Austriak Weselli; oficerowie radzieccy Soroka i Kreuzman; Czech Hlazek, Belg Vandenbosch. Ginęli we wspólnym z Polakami boju Jugosłowianie, Grecy, Czesi, Słowacy, Żydzi.

Są to oczywiście nazwiska wybrane dowolnie spośród tysięcy rozstrzelanych i powieszonych za udowodniony im udział w oświęcimskim podziemiu. Nie byli to na pewno cierpiętnicy zmarli w lagrze. Byli to żołnierze padli w boju.

Kontrterror był (w dużym stopniu) kierowany wyrokami sądu lub rozkazami dowódców. Kontrterror wytrącał kije z rąk sługusom SS. Ponad 400 konfidentów i kapów padło z rąk organizacji. Śmierć spadała na szpicli na skutek „nieszczęśliwych wypadków", w czasie transportów do innych obozów, z racji wykonywanych wyroków, czasem duszono ich po prostu, czasem zabijało ich to samo lekarstwo, którym mordowali nas w przestępczym „Wissenschaftlicheabteilung", w „Instytucie Higieny" w Rajsku, w salach szpitalnych bloków. Tak zginęli kat SK Pitas, fleger Jackowski, Smolich, Kocura i setki innych. Nie trzeba przemilczać tej walki i nawet takiej broni, jak na przykład wrzucanie między zrabowane zagazowanym więźniom swetry i futra — garści tyfusowych wszy. Wszy jechały na front, by szczerbić luki w oddziałach SS. Nie wyrównało na pewno tych strat rozstrzelanie 60 koleżanek z Frauenlagru. Dziewczęta te padły w walce na pewno strasznej i nieludzkiej, ale w warunkach oświęcimskich jedynej i sprawiedliwej.

III

PISZĘ o wojskowym obliczu obozowej konspiracji, ale akcje wojskowe były przecież tylko częścią licznych, a może nawet ważniejszych zadań oświęcimskiego podziemia. W największej mordowni świata trzeba było walczyć przede wszystkim o ratowanie człowieka. Czyny polskich lekarzy, takich jak Pakowski, Fejkiel, Gałka, Jasielska, Kościuszkowa, Diem, Fidelkiewicz i dziesiątki ich kolegów, godne są zapisu poświęcenia, odwagi, patriotyzmu. Szpital oświęcimski leczył w warunkach strasznych. Był miejscem ukrywania poszukiwanych przez gestapo patriotów. Tam fałszowano karty ich zgonów; przydzielając numery zmarłych, można było wysyłać zagrożonych najbliższymi transportami w głąb Rzeszy, do innych obozów i komenderówek. Na bloku tyfusowym pracowali księża - spowiednicy, kapelani obozowego podziemia. Tu spotykali się polityczni działacze wszelkich odłamów demokracji na wspólne dyskusje ucząc się zasad współistnienia i szacunku dla każdego światopoglądu, byleby nie był światopoglądem morderców. Pracowały mimo represji grupy aktorów noszące z bloku na blok pisaną w obozie piosenkę i wiersz. Odbywały się tajne nauczania, pracował najnormalniejszy Uniwersytet Powszechny, a prelegentami byli naukowcy, pisarze, technicy i majstrowie-specjaliści. I na tym polu bardzo szeroki był front światopoglądowy i polityczny.

Oświęcim nie uwolnił się sam. W SS nie ryzykowano starcia, o którym wiedziano, że będzie krwawe i niełatwe. Kilka ewakuacji rozrzuciło więźniów po Mauthausen i Buchenwaldzie, Belsen. Nie domyślano się, że w ten sposób zasilono zorganizowaną jednostką wojskową tamte organizacje podziemne i że właśnie żołnierz oświęcimski skieruje lufy karabinów w ślepia przerażonych załóg SS. W Mauthausen rozbito w puch batalion załogi. Buchenwald stoczył zwycięską bitwę z oddziałami przybyłymi celem likwidacji obozu aż z Weimaru. Żołnierz Belsen dopadł w lasach uchodzących katów, biorąc do niewoli wielu SS-manów Oświęcimia z komendantem Kramerem, Drekslerem, Emerichem i Haase. Wystrzelano w pień po zaciętym, nieubłaganym boju SS-manów Ukrainy.

Buchenwaldzki bój przyjęto jako symbol wszystkich walk obozowych organizacji podziemnych. Dzień tego zwycięstwa uznano za datę uwolnienia wszystkich obozów.

Myślę, że ten wybór spowodowany był również międzynarodowością Buchenwaldu, Grupy prawicowe i lewicowe, polska, francuska i niemiecka, belgijska, czeska, włoska i bardzo silna bojówka jeńców radzieckich pracowały tam pod wspólnym kierownictwem tajnego Komitetu Międzynarodowego. Współpracowały w sabotażu w fabrykach Gusloff, w garażach naprawczych pancernej dywizji SS, przy transporcie broni, przy budowie wodociągów, które miały służyć wojnie. Wykradziona z Gusloff broń miała przecież służyć jednej sprawie.

Trzymały ją później w dniu 14 i 15 kwietnia 1945 dłonie żołnierzy Hiszpanii i żołnierzy polskiego września, młodzież AK i AL, Belg podawał taśmę z nabojami rosyjskiemu celowniczemu, żołnierz włoski słuchał rozkazów Niemca-socjaldemokraty, walczącego przeciw mówiącemu tym samym co on językiem, wrogowi.

Walką kierowali „Colonel Fredritz" (H. Manhes), Otto Burger, mjr. Lewandowski, gen. Piquetty, płk. Rybin. Tak jak czynili to ich koledzy z Flossenburga i Dachau.

Uwalniające obozy oddziały radzieckie, angielskie i amerykańskie odnajdywały poza drutami zorganizowane jednostki armii sojuszniczej.

IV

WCZYM widzą swoje pokrzywdzenie kombatanci bitew spod Krematorium? Czemu na dorocznych zjazdach mówią o kolegach zajmujących miejsce w prezydium: „oni", a o masie więźniarskiej: „my". „Oni" i „my" — tak nie mówiło się wtedy, w ogniu bitwy.

Jest to żal zrozumiały i usprawiedliwiony. Ten sam, jaki odczuwał żołnierz ZWZ, AK, czy wracający do kraju uczestnik walk we Francji, Anglii, Włoszech. Wszyscy oni wspólnie walczyli z faszyzmem, nieśli krajowi wolność.

Walczące szeregi obozów powykreślano z ewidencji kombatantów minionych walk. Ich ruch oporu uznano za niebyły.

Meldujących się społeczeństwu byłych żołnierzy, a teraz ochotników armi odbudowy — witał urzędnik, przedstawiciel władzy, z chłodną nieufnością. Odmawiano uznania zasług. Ofiarowywano współczucie należne ludziom męczonym — i to czuli. Nie czuli — natomiast czci należnej niepokonanym.

Nie zauważano w masie więźniarskiej siły twórczej. Zlekceważono ochotniczy zaciąg bezcennych w swym entuzjazmie kadr w przemyśle, w szkolnictwie, w służbie państwowej. Do dziś Antoni B., oficer marynarki handlowej, jest nadal kalkulatorem w fabryce guzików, a jego kolega sprzedaje po znajomych domach papeterię. Więźniowie „prawnicy" nie prowadzą spraw przeciwko załogom SS i byłym kapom. Magister prawa handluje zegarkami w modnych kawiarniach i nie zawsze jest to jego wina, że zarabia w sposób kolidujący z prawem.

I o tym trzeba też wyraźnie i szczerze powiedzieć.

Trzeba wzorem Francji, Belgii, Włoch, przeprowadzić i u nas ongiś zaczętą i niedokończoną weryfikację lagrowej społeczności. Tytuł więźniów politycznych przyznać tym, którzy będąc za drutami podnieśli broń, którzy solidaryzowali się z wszechstronną pracą społeczną, którzy nie załamali się w trudzie oświęcimskiego bytowania.

Trzeba ten trud podjąć jak najszybciej. Wtedy na honorowym podium zjazdów ogół więźniarski znów będzie widział swych zasłużonych w obozowej walce kolegów, a oni dojrzą w byłych więźniach nie tylko ofiary uratowane z rąk ludobójców, ale żołnierzy stu bitew pod Krematorium.

Czesław Ostańkowicz

Autor powyższego artykułu jest byłym więźniem politycznym Oświęcimia, Birkenau, Buchenwaldu i Belsen oraz członkiem polskich, belgijskich i francuskich organizacji więźniarskich. (red.)

RAPORT

z bitwy pod krematorium

„Człowiek poza nawiasem"

NIE wystarczał nam symbol bohaterskiej śmierci Ojca Kolbe.

Spotykaliśmy się bardzo często z ostrą, bezwzględną krytyką postępowania pewnej części duchownych, którzy w epoce pieców znaleźli się poza drutami obozów koncentracyjnych. W wielu wypadkach te krytyczne głosy były głosami ludzi „stamtąd". Tym bardziej przez to gorzkie i tym bardziej zastanawiające.

Były więc głosy, które odmawiały bohaterstwa małej części obozowego społeczeństwa. Tłumaczono, że szlachetna postać O. Kolbe jest jakimś wyjątkiem, że podobnych do Niego można policzyć na palcach, że księża tworzyli w obozach koncentracyjnych jakąś własną kastę więźniów-uprzywilejowanych, że wszystkimi siłami bronili się przed potworną obozową przeciętnością.

Dlatego przykład O. Kolbe nie wystarczał. Chcielibyśmy wiedzieć jak żył, jak umierał przeciętny kapłan w Oświęcimiu, w Dachau. Mieliśmy prawo do tej wiedzy.

Wspomnienia O. Frankiewicza są jakąś formą podobnego uzupełnienia. Dają odpowiedź na pytania, wobec których byliśmy tak często po prostu bezradni. W tym miejscu trzeba by oddać głos faktom. Tym, które autor mniej lub więcej szczęśliwie opisał, tym, które znalazły się niekiedy na marginesie jego relacji, czy wreszcie najbardziej lakonicznym statystykom zamieszczonym na ostatniej stronie książki.

Opowiadano mi kiedyś taką historię. Kiedy pewnego dnia rozeszła się po obozie wiadomość, że duchowni korzystać będą z jakichś nieprawdopodobnych ulg (zwolnienie z obowiązku przymusowej pracy) znalazł się wśród przebywających tam duchownych jeden jedyny młody kapłan, który postanowił nie korzystać z obiecywanych dobrodziejstw. Wolał pozostać na swoim dotychczasowym miejscu.

Dzisiaj przykład ten mówi już bardzo niewiele. Słowa straciły swoją wielką ostrość. Nad opowiedzianą decyzją młodego księdza — wzruszamy ramionami. Było przecież o wiele więcej innych przykładów.

Czytelnik relacji O. Frankiewicza dokładnie pozna fałszywość mitu o niebywałych łaskach, którymi obdarzać miano więźniów „specjalnej kategorii". Mała obozowa społeczność pokaże mu całą swoją złożoność. Pokaże „zwykły" nieporadny patos i wielkie, drobne klęski. Śmierć jest w książce O. Frankiewicza „zwykła". Obozowa. Taka, o której starzy więźniowie mówią z pasją odkrywania nowych cyfr, nowych statystyk wywołujących w nas, do których przekazy ich są adresowane — grozą.

W listopadzie i grudniu 1944 roku w Dachau, wybuchła epidemia tyfusu. Tak o następujących wtedy wydarzeniach, pisze O. Frankiewicz: ...„Oto większa grupa polskich księży — później i innych narodowości — zgłosiła gotowość do pracy w zagrożonych blokach. Był to przykład heroizmu, który wszystkim dotychczasowym złośliwościom, jakie kierowano pod adresem księży, definitywnie kładł kres. Niemal wszyscy księża z tej grupy, w krótkim czasie zachorowali na tyfus i niejeden z nich padł ofiarą poświęcenia".

I jeszcze jedno: był to okres, kiedy w odizolowanych blokach wymarł personel blokowy i kiedy nikt nie ubiegał się o funkcję po zmarłych.

Pamiętnik „Człowiek poza nawiasem" ilustruje rzeczywisty stan rzeczy. Jest ilustracją złej, przeciętnej rzeczywistości obozowej.

I taki jest jego zasadniczy walor.

Czytelnik nie powinien zapominać przez cały czas lektury książki Ojca Frankiewicza, że jest to notatnik przeżyć jednego człowieka, że obraz ukazany w książce nie jest rejestrem wszystkich, choćby tylko najważniejszych faktów, że przez swój pamiętnikarski charakter ukazuje dosyć charakterystyczną obozową sylwetkę polskiego księdza.

Są w książce O. Frankiewicza, partie wyraźnie słabe, grzeszące niepotrzebnym humorem (nieszczęśliwe zgoła cytowanie ludowych porzekadeł, w najmniej nadających się do tego momentach) i niejszczęśliwszą „poetycką" metaforą. Ale i te fragmenty przyczyniają się do pełniejszego ukazania charakterystycznej sylwetki człowieka, do ukazania właśnie charakterystycznego sposobu przeżywania przez niego różnych faktów i różnej ich selekcji.

Dlatego nie widzę w „Człowieku poza nawiasem" próby jakiegoś taniego optymizmu. Bo najważniejsze są fakty.

Władysław Lech Terlecki

*

P. S.

Spotkałem czytelników książki Ojca Frankiewicza, którzy oskarżali autora o bardzo fragmentaryczny obraz obozowego życia. Czytelnicy ci, mają do autora pretensje o to, że znane im z własnych obserwacji, a ważne skądinąd fakty w swojej książce pominął. Nie wiem, ile racji kryje się w tym oskarżeniu. Dla większej jednak części czytelników książki zawarty w niej materiał jest na pewno jakimś bardzo cennym uzupełnieniem.

O. Edward Frankiewicz — „Człowiek poza nawiasem". Instytut Wydawniczy „PAX" — Warszawa 1955, str. 171.

KATECHIZM
RELIGII KATOLICKIEJ
(dla dorosłych)
str. 165 cena zł 10.—

Ks. J. Piskorz
WIERZĘ W BOGA
str. 192 cena zł 12.—

Ks. dr Wincenty Kwiatkowski
APOLOGETYKA TOTALNA
tom I, część I/II
str. 169+139 cena zł 60.—

Nicolas Dąbrowski
ŻYCIE MARYI MATKI BOŻEJ
str. 310, 16 ilustr., oprawa ozdobna
wyd. II cena zł 60.—

Św. Augustyn
WYZNANIA
str. 379, opr. płócienna,
wyd. II cena zł 35.—

Ks. E. Dąbrowski
DZIEJE PAWŁA Z TARSU
str. 626, cena zł 75.—

PISMO ŚW. NOWEGO TESTAMENTU
str. 880, cena zł 45.—

J. Calvet
ŚW. WINCENTY A PAULO
str. 275, cena zł 24.—

Ks. J. Czuj
KAZANIA
str. 220, cena zł 25.—

Św. Hieronim
LISTY
t. I/III, str. XXII + 311 + 292 + 307
cena zł 34. — za 1 t.

A. Rogalski
KOŚCIÓŁ KATOLICKI NA ŚLĄSKU
str. 283, cena zł 25.—

Ks. E. Dąbrowski
GLOSSY I ODKRYCIA BIBLIJNE
str. 264, cena zł 25.—

Ks. E. Dąbrowski
PROLEGOMENA DO NOWEGO TESTAMENTU
str. 257, cena zł 20.—

Th. Deman
CHRYSTUS PAN I SOKRATES
str. XX + 234, cena zł 30.—

J. Dobraczyński
JEZUS CHRYSTUS
I JEGO APOSTOŁOWIE
str. 301, cena zł 15.—

J. Dobraczyński
MANNA I CHLEB
str. 232, cena zł 20.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „PAX", Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I-14-140317 Sp. Wyd. „Pax" — Instytut Wydawniczy w Warszawie. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3.— na koszt przesyłki.
Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu" i Woj. Oddziałach „Słowa Powszechnego".

LISTY DO REDAKCJI

JAK JEST NAPRAWDĘ Z TĄ „ŚWIĘTĄ MORALNOŚCIĄ"?

W JEDNYM ze swych dzieł Fr. W. Foerster przypomina tak często spotykane zjawisko wśród Murzynów w południowej Ameryce, a mianowicie, że ni stąd ni z owąd zjawiają się z krzykiem „I have got a call" (zostałem powołany). „Ten rodzaj laickiego kapłaństwa — powiada Foerster — jawi się często naszym oczom, kiedy obserwujemy, jak się dziś byle kto uważa za powołanego głosić swoją teorię w najtrudniejszych i zasadniczych pytaniach życia człowieka, i tę swoją dziennąmądrość ośmiela przeciwstawić c o n s e n s u i s a p i e n t i u m stuleci".

Wydaje mi się, że zdanie Foerstera zyskuje na wadze, kiedy się przegląda ostatnio szeroko rozwiniętą, na łamach naszej prasy, dyskusję na temat moralności. Niejednokrotnie niektórzy z polemistów zapalczywie zwalczają pewne zasady etyczne tylko dlatego, że są przez Kościół reprezentowane, a przecież „najmniej rozsądną rzeczą jest odrzucanie pewnych zasad moralnych z tego tylko powodu, że są reprezentowane przez przeciwników". Słusznie zauważa pan J. Adamski, „że walka przeciw moralności religijnej nie jest walką ze wszystkimi jej zaleceniami mającymi swe źródło w tzw. moralności naturalnej" i że często w dyskusjach „o problematyce moralnej... występuje tendencja do całkowitego odrzucania wszelkich norm moralnych przejętych drogą i przekazywanych przez chrześcijaństwo". Jednakże sam pan Adamski mimo tej słusznej uwagi także niezdołał się uniezależnić od tego, przez siebie potępionego, błędu. Sama bowiem walka, z pojęciem grzechu, jaką podjął pan J. Adamski w swoim artykule pt. „Święta moralność" na łamach „Przeglądu Kulturalnego", jest przekroczeniem w stosunku do powyższej uwagi. Pan Adamski w w/w artykule podjął ostrą walkę z „obsesją grzechu", jednakże — jak z tegoż artykułu wynika — pojęcia grzechu nie zrozumiał. Dobitnie o tym mówią następujące słowa: „...etyka operująca takim irracjonalnym pojęciem (tzn. pojęciem grzechu), jako kategorią podstawową, skuteczności społecznej innej niż podporządkowanie wiernych władzy Kościoła mieć nie może". Jeszcze bardziej świadczy o tym rozumowanie: pojęcie grzechu „stanowi rodzaj niewoli psychologicznej i obyczajowej, jest tym większą rzeczywistą i praktyczną przeszkodą w budowaniu nowych podstaw moralnych". A więc normy moralności katolickiej, których przekroczenie nazywamy grzechem, takie jak: „nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż itd". są przeszkodą w budowaniu nowej etyki. Nie mam zamiaru polemizować z panem Adamskim, wydaje mi się jednak, że nowa etyka w rozumowaniu pana Adamskiego, dla której powyższe zasady są przeszkodami, niewiele ma wspólnego z moralnością.

Aby objaśnić zagadnienie poruszane przez pana Adamskiego w jego artykule pt. „Święta moralność", trzeba, chociaż pokrótce, objaśnić pojęcie grzechu. Według nauki Kościoła grzechem nazywamy „świadome i dobrowolne przekroczenie przykazań Bożych". Przykazania zaś Boże to te przykazania, które Bóg po raz pierwszy w f o r m i e d e k a l o g u człowiekowi przekazał. Można je podzielić na trzy rodzaje: pierwszy rodzaj tych przykazań dotyczy ustosunkowania się człowieka do Boga, drugi — człowieka do siebie, trzeci — człowieka do innych ludzi. Przykazania drugiego i trzeciego rodzaju niejako wzajemnie się przeplatają i należą do tego rodzaju przykazań moralnych, których przestrzeganie konieczne jest, by zostać człowiekiem w sensie Arystotelesowskiego: „zwierzę z natury społeczne".

Rozumiejąc w ten sposób pojęcie grzechu, można je atakować bądź ze strony materialnej, a mianowicie zawartości, bądź ze strony formalnej. Atak ze strony materialnej wydaje się zbyt nieszczęśliwy pod względem moralnym, zwalczając bowiem przykazania dekalogu podkopujemy całą moralność człowieka. Co już słusznie zauważył ateista — Wundt, mówiąc, że dekalog jest koniecznym postulatem dla człowieka, niezależnie od epoki, w której występuje. Istnieje jeszcze możliwość ataku na pierwszy rodzaj przykazań Bożych, a mianowicie nakazujących cześć Bogu. Atak ten jest tylko możliwy z punktu widzenia ateizmu. Dopatrywanie się jednak nielogiczności w uporczywym czci istocie „nieistniejącej" wymaga wpierw dowodu na nieistnienie Boga, co mimo wszelkich starań dotychczas się jeszcze nie udało.

Atak znowu na stronę formalną grzechu może dotyczyć tylko religijnej treści tego pojęcia, a mianowicie „świadomego i dobrowolnego przekroczenia przykazań Bożych". Szczególnie tego rodzaju atak wypływa z niezrozumienia pojęcia grzechu. Grzech bowiem z punktu widzenia religijnego nie oznacza tylko samego aktu przekroczenia przykazań Bożych. Dlatego też „obsesja grzechu" u pana Adamskiego trochę nieszczęśliwie zostaje zrozumiana, jak zresztą u wszystkich przeciwników moralności chrześcijańskiej. Atak pana Adamskiego, chociaż pomyślany jako atak na moralność religijną, dotyczy całej moralności, religia bowiem nie wniosła wiele nowego pod względem praw moralnych, lecz raczej kodyfikowała już istniejące prawa moralne, zawarte w prawie naturalnym, które Bóg wyrył w naturze ludzkiej. Zresztą ani jedno prawo moralne dekalogu jako takie (ut sic), nie jest niczym nowym dla ludzkości. Wszystkie prawa dekalogu istniały także u ludów nie mających nic wspólnego z religią chrześcijańską i nawet istnieją jeszcze dziś u ludów, które się jeszcze z nią nie zetknęły. Badacze ludów pierwotnych, tacy jak: Schmidt, Cathrein, Otto Rudolf, Leroi i inni dowiedli, że nie ma i nie było ludów bez religii. Cześć oddawana Bogu jest tak naturalna dla człowieka, jak „przykazania natury": nie czyń drugiemu, co tobie niemiło, szanuj rodziców i starszych itd. Prawa moralne jednak w swej pierwotnej postaci zostały częstokroć przez człowieka wskutek jego omylności wykrzywione i mylnie interpretowane, nie miały więc siły gwarancyjnej. Podobnie jak prawo państwowe, tak i prawa moralne muszą być usankcjonowane, jednakże sankcja praw moralnych ma trochę większe wymagania od sankcji prawa państwowego. Tu i tam musi zaangażować dobro osobiste, w przeciwnym bowiem razie nie byłaby sankcją. Sankcja prawa moralnego musi być wewnętrzna, musi być wymierzona przez Boga. Wykonanie sankcji państwowej leży w kompetencji ludzkiej, stąd jej, w wielu wypadkach, krzywdzący charakter. Moralność zaś nie zadowala się taką sankcją, sankcja bowiem taka nie obejmuje ukrytych czynów człowieka. „Moralnie powinniśmy postępować dla samej Moralności" — powiada Kant.

Jednakże doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ludzka namiętność jest za silna, by ją opanować dla samej tylko idei. Stąd też mimo tego, że pojęcie „Bóg" nie bardzo odpowiadało systemowi rozwiniętemu w „Krytyce Czystego Rozumu", musiał je Kant przyjąć ze względu na „Krytykę Praktycznego Rozumu". Pojęcie „Bog" nie tylko zostaje przyjęte przez Kanta, ale nawet uznane za konieczny postulat etyki. Każde prawo wymaga sankcji, zaś sankcja prawa moralnego musi być sine ira et errore. Temu rozumowaniu podlegali także inni myśliciele, jak np. Voltaire, albo William James — „wierzcie, bo wiara jest konieczna. Chociażście nawet nie mieli wiary, to czyńcie tak jak wiara nakazuje, a wtedy wiara przyjdzie sama". Także i Bergson uznaje wiarę za warunek szczęścia społeczeństwa i jednostki. Celowo przytoczyłem kilka uwag naturalistów, którzy jednakże przystąpili do nauki a posteriori, nie jak niektórzy marksiści a priori, by wskazać panu Adamskiemu, że sankcja czy też pojęcie grzechu nie jest „poczuciem strachu i nieczystym sumieniem, które wydziela zapach, który piesci nozdrza bogów" (Sartre), lecz nawet naturalną koniecznością etyki. Etyka dla samej idei jest bezsprzecznie najpiękniejszą... utopią.

Moralność, która się opiera o sankcję zewnętrzną, jest tylko prawem społecznym, prowadzącym do upadku wszelkiej wartości w społeczeństwie. Tam, gdzie nie ma wewnętrznej odpowiedzialności, nie ma też szacunku. Słowa pana Adamskiego, że „obsesyjny jego (tzn. grzechu) charakter wynika z magicznych, religijnych i irracjonalnych uzasadnień", mają chyba tylko sens i wartość w irracjonaliźmie, skoro nawet racjonalny naturalizm im zaprzecza. A nadanie tzw. moralności naturalnej cahrakteru sakralnego nie jest „anachronizmem, reliktem prymitywu społecznego, zrodłem zacofania", lecz jest postulatem moralności i gwarancją jej zachowania, nawet z punktu widzenia najbardziej naturalistycznego. Posłuchajmy, co mówi kapłan naturalizmu J. J. Rousseau o konieczności religii dla moralności, w swoim „Emilu": „Synu mój, trzymaj swoją duszę ciągle tak, żeby pożądała istnienia Boga i nigdy nie ogarnie cię wątpliwość Jego istnienia. Zdaj sobie sprawę z tego ...że prawdziwe powinności religii niezależne są od ludzkiej ustawodawczości, że serce, które postępuje w prawdzie, jest prawdziwą świątynią Boga, że w każdym kraju i każdej religii sumą prawa jest: Boga ponad wszystko, a swego bliźniego jak siebie samego kochać, że nie ma religii, która od tego zwalnia, od tych powinności etyk, że te są właściwą istotą religii, że wewnętrzna adoracja Boga jest pierwszą z tych powinności, i że bez tej wiary nie ma prawdziwej cnoty".

Każde prawo, aby w społeczeństwie obowiązywało, musi dojść do świadomości tego społeczeństwa, jest więc wymagana świadomość prawna. Tą świadomością prawną w moralności jest s u m i e n i e. Sumienie jest czymś wrodzonym człowiekowi, tam bowiem, gdzie nie ma sumienia, nie ma też człowieka. Sumienie nie jest jednak tylko wewnętrznym głosem człowieka, byłoby bowiem łatwo usuwalne, ani też nie jest wyłącznie głosem Bożym, lecz jest Boską rzeczą, jak wszystkie naturalne i nadnaturalne dary Boże, poddaną w swym rozwoju i stosowaniu wpływom ludzkim. Pięknie to określa Tertulian: „Sumienie może być otaczane ciemnością, gdyż nie jest Bogiem, jednakże nie może być usuwane, gdyż jest od Boga". Jednakże ten niebiański głos może być często mylnie uchwycony, dlatego też kodyfikacja prawa moralnego przez prawodawcę stała się koniecznością. Według nauki uznającej Boga za Stwórcę człowieka, także moralność — jako warunek współistnienia ludzi musi pochodzić od Boga. Bóg, stwarzając człowieka musiał mu dać pewne prawa, których zachowanie konieczne jest dla współistnienia wielu ludzi. Zaś dla gwarancji i praworządności przypieczętował je swoim autorytetem, uznając przekroczenie tych praw za przekroczenie Jego praw. Nie „niewolą psychologiczną i obyczajową", czy też „przeszkodą w budowaniu nowych podstaw moralnych", lecz potwierdzeniem i gwarancją współczesnej etyki może więc być pojęcie grzechu i „świętej moralności".

Ponadto p. J. Adamski, jak i w ogóle propagatorzy „nowej etyki", atakują masowo w swych artykułach czy dyskusjach przykazania czystości. Kiedy się przegląda artykuły reprezentantów „nowej etyki", wydaje się, że całą moralność ściągają do problemu „kultury seksualnej", zapominając o tym, że ta „kultura seksualna" jest tylko wycinkiem moralności. Mówiąc o przewrocie, zburzeniu „starej etyki" mają na uwadze etykę życia płciowego. Oczywiście problem ten jest bardzo drażniący i niesposób go wyjaśniać w tak krótkim artykule. Chciałbym jednak tylko dodać, że czystość seksualna tak mężczyzn, jak i kobiet, przed wstąpieniem w związki małżeńskie jest konieczny warunkiem natury, jak i warunkiem istnienia społeczeństwa. Żaden sumienny lekarz, który bada i sądzi wg rozumu a nie namiętności, który w człowieku widzi nie tylko to, co namiętne, zmysłowe, lecz o s o b ę, nie może temu zaprzeczyć. Aby etykę zrozumieć, trzeba do niej podejść rozumnie, nie pod wpływem ślepych namiętności, w przeciwnym razie byłaby tylko „filozofią lekkomyślności, sofistyką popędów, wolnomyślicielstwem namiętności".

Wolna miłość i „ohydny cynizm Voltaire'a „oznacza nie wyzwolenie ludzkości od kajdan, lecz niewolę kobiety i spaczone społeczeństwo. Społeczeństwo jak i jednostka mają prawo żyć szczęśliwie i nieszczęśliwie, lecz nie mają prawa unieszczęśliwiać potomstwa, czy też żyć szczęśliwie na koszt potomstwa.

Erhardt Gralla

Wrocław

ŻYCIE I MYŚL

* DWUMIESIĘCZNIK *

Pierwszy w bieżącym roku numer „Życia i Myśli" przynosi następujące pozycje:

O. JACEK WORONIECKI O. P. — Przykazania miłości w nauczaniu katechizmu,
ANDRE DE BOVIS S. J. — Katolicki sens pracy i cywilizacji,
IGINO GIORDANI — Praca,
ZOFIA KOSSAK — Spojrzenie wstecz,
WANDA ŻUROMSKA — Międzynarodowe spotkanie działaczy katolickich i chrześcijańskich w Warszawie,
— Grafika Picassa,
JANUSZ OSTASZEWSKI — W cieniu największej troski (artykuł dyskutujemy o problemie młodzieży).
KORESPONDENCJA — prof. dr K. Wyka — prof. dr Stefania Skwarczyńska.

Czytelników zainteresuje zapewne praca Ojca J. Woronieckiego tłumaczona z „Angelicum" oraz fragment książki Zofii Kossak pt. „Przymierze" zamieszczony za zgodą autorki. Zagadnienie pracy w doktrynie katolickiej poruszają ciekawe artykuły tłumaczone z „Nouvelle Revue Théologique" i książki Igino Giordaniego pt. „The Social Message of the Early Church Fathers". Tak aktualnych dziś zagadnień młodzieży i moralności dotyka artykuł dyskusyjny J. Ostaszewskiego. Stosunkowo obszerny wybór prac Picassa do artykuły o jego grafice i żywa polemika prof. Wyki — prof. Skwarczyńskiej dopełnia różnorodny i ciekawy numer.

MIRO RADOSNY

Ze wszystkich sztuk najmniej konkretna jest literatura. Malarz myśli oczyma, literat często maszyną do pisania. Pole popisu dla bezmyślności jest tu i tam ogromne. Ktoś powiedział, że jedyną różnicą między malarstwem a medycyną jest to że w malarstwie wszystkie błędy wystawione są na widok publiczny, a w medycynie — pochowane razem z chorym. Drugą różnicą jest chyba to, że poprawność leczenia przywraca zdrowie pacjenta, a poprawność malowania zabija malarstwo. Wielcy malarze — to ci najmniej poprawni.

Wielki malarz stwarza wizję, z którą można się nie zgadzać, ale z którą trzeba się liczyć. Wizja istnieje. Wybitnego malarza odkrywa

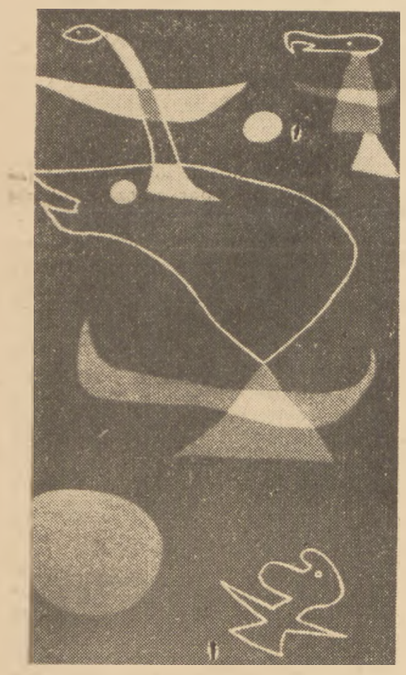

się łatwiej, niż nową gwiazdę czy nieznaną planetę. Odkrycie wymaga wprawdzie instrumentów czulszych od najbardziej precyzyjnych teleskopów, ale bardziej wzbogaca nasze życie niż wiadomość o istnieniu Plutona czy Uranu.

Mało jest współczesnych malarzy, o których można powiedzieć że stworzyli swój własny, nawskroś oryginalny świat. Jeden z nich — to Joan Miró.

Trudno o nim pisać ponuro. To jeden z najmniej ponurych malarzy. Część krytyków zaliczała go do surrealistów. Wydaje się, że samemu malarzowi było zupełnie obojętne do jakiej szufladki wsadzą go uczeni krytycy. Jedno jest pewne, że surrealizm Miró — to pomyłka. Miró nie ma nic wspólnego z halucynacją, podświadomością, automatyzmem — z całą artystyczną, ale niemalarską blagą surrealistów. To jeden z tych malarzy, których nie można przydzielić do żadnej szkoły; równie daleki od surrealizmu jak od sztuki abstrakcyjnej. Dlaczego kojarzyć od razu malarza z jakimś kierunkiem czy grupą? Malarska zoologia daje może chleb krytykom, ale trudno traktować żywych ludzi jak chrząszcze, pająki, czy dżdżownice. Wybitni malarze malują; sprytni — organizują nowe kierunki nazywając je — obojętnie jak — orfizm czy taszyzm.

Parafrazując Apollinaire'a można by powiedzieć: jestem radosny patrząc na obraz Miró. Miró każde uczucie potrafi wyrazić formą pełną radości. Współziomek Picassa, Katalończyk, nie posiada picassowskiego dramatyzmu. Napięcie obrazów Miró nie ma w sobie nigdy groźby, tak wyczuwalnej u Picassa. W obrazach Picassa są muskuły, jest naprężenie, akumulacja energii, która może się wyładować w krzyku, w tragicznym patosie. Te obrazy przypominają stale, że Hiszpania jest krajem rozmiłowanym w walce byków, a nasza epoka jest opoką najokrutniejszych wojen. Napięcie obrazów Miró to czujne, pełne bardzo konstruktywnego wysiłku wyczekiwanie tancerzy przed baletem. „Dla mnie Miró — to choreografia" — pisał wielki rosyjski choreograf Leonid Miasin.

Przełomowym obrazem Miró, w którym objawił się po raz pierwszy oryginalny talent malarza jest „Ferma" (1922). Miró malował ten obraz dziewięć miesięcy — jak pisze Hemingway, jego przyjaciel — tyle czasu, ile trzeba kobiecie na urodzenie dziecka. „Ferma" ma w sobie wszystko, co czuje się w czasie pobytu w Hiszpanii i wszystko co czuje się poza Hiszpanią, nie mogąc do niej powrócić" (Hemingway). Jest to obraz mający jeszcze dużo wspólnego — z niekonwencjonalnym wprawdzie — realizmem; malarska synteza chłopskiej zagrody w Hiszpanii. Pojawia się tam już jednak świat małych, trochę dziwnych żyjątek, które przetworzone w symboliczne, organiczne, bardziej abstrakcyjne formy zapełnią w przyszłości płótna Miró. „Ferma" to sekcja przez twórczość Miró. Ujawnia jego zamiłowanie do budowy obrazu całą plejadą form drobnych, zamiłowanie do kompozycji postrzelanej, rozfalowanej, kompozycji o ziarnistej, niejednolitej fakturze.

Precyzyjnie, z wielką pewnością rysunku, zaludnia Miró swoją „Fermę" menażerią kur, kogutów, królików, gołębi. Na kozie siedzi ptak, koń obraca się w kieracie, w piasku bawi się dziecko. Czego tam nie ma! Pod drzewkiem o precyzyjnie wyrysowanych listkach i i sękach leży siekiera, z okna zwisa sznur, na piasku — ślady stóp, obok nich konik morski i ślimak, które jakimś cudem tu zawędrowały. Trzy główne cechy Miró: fantastyka, umiłowanie detalu i drobnych organizmów, i muzyczność kompozycji — już w tym obrazie dochodzą do głosu.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat trzech malarzy hiszpańskich zdobyło ogólne uznanie krytyki: — nie liczę Salvadora Dali, bo jest bardziej poetą i szarlatanem niż malarzem — Picasso, Miró i Juan Gris; wszyscy trzej malowali w Paryżu. Gris to inkwizytor kubizmu; Miró, mimo że tak jak Picasso urodzony w Katalonii — jest przedziwnym i złożonym — jak na Hiszpana — stopem. Katalonia to wybitnie frapująca artystycznie prowincja Hiszpanii. Słynne freski i rzeźby romańskie, bardzo ciekawa sztuka ludowa i niecodzienne przejawy sztuki współczesnej stwarzają z niej ośrodek promieniujący w każdym okresie daleko poza Hiszpanię. W Barcelonie budował najbardziej dziwny i fantastyczny architekt — Antonio Gaudi, jeden z prekursorów secesji i współczesnej architektury organicznej, jedyny w swoim rodzaju oryginał o niespotykanej sile wyobraźni. Gaudi jest wyrazicielem katalońskiej fantastyki, która przejawia się zarówno u Picassa jak u Miró. O ile jednak fantastyka Picassa ma posmak okrucieństwa, Miró posiada urok, prawie niehiszpański wdzięk, wykreślający jakiekolwiek cechy okrucieństwa. Nie zatracając rodzimej siły wyrazu i zdobitności wykorzystuje, być może, odmienne od Picassa elementy regionalnej tradycji. Miró jest Katalończykiem roześmianym.

„MIRÓ maluje niebo w dwojaki sposób — pisze znakomity krytyk René Gaffe — brunatne — jak cała Hiszpania, jej góry, pejzaże, wsie, kościoły; albo niebieskie — wściekłym, zuchwałym błękitem, który rozwibrowuje cały obraz. To niebo nigdy nie jest statyczne. Niebo Miró nie ma nic wspólnego z tłustym, rozpiętym, brzuchatym niebem mieszczanina, nic wspólnego z niebem biedaka: skąpym, nieszczęśliwym, pełnym niedoli. Niebo Miró jest absolutne, szlachetne, wystawne, zbytkowne, świąteczne i wspaniałe. Jego słońca malowane czystym cynobrem, jak lampy palące się w nocy pod pewnymi gościnnymi domami, nie wymagają komentarzy. Słońca Miró są żadko żółte. Czy Miró nie jest Katalończykiem? Żółty kolor jest prawdopodobnie za mało świetlisty dla Barcelony. Lepsza jest czerwień. Żółć huczy w płótnach Van Gogha. Słońca Miró brzmią jak trąba".

Malarstwo Miró jest pełne wibracji, brzmień i rytmu Hiszpanii. Jest to rytmika ruchu hiszpańskich wieśniaków pełna ukrytej dynamiki, rozleniwiona południowym słońcem. Rytmika hiszpańskiego krajobrazu, drzew, roślin i zwierząt. Picassowską dumę zastępuje Miró bardziej łagodną godnością; godnością pełną uśmiechu — wprawdzie nie dobroduszności ale wyrozumiałości, pełną wewnętrznej radości. Umiłowanie małych, często zabawnych stworzonek to stara katalońska tradycja. Sztuka ludowa Katalonii — gliniane zwierzaki, dziwadła, fantastyczne gwizdki malowane żywymi kolorami — doczekały się współczesnego wcielania na wesołych płótnach Miró.

To jest też geneza jego koloru — ludowych barw, pełnych, świetlistych, dźwięcznych, przetworzonych inteligencją człowieka, który dobrze znał zarówno współczesnych francuskich kolorystów, jak sztukę Południowego Wschodu, tak bliską Hiszpanii, czy perskie miniatury. Miró jedyny z paryskich Hiszpanów często malował temperą — to też jakieś dowiązanie się do starego romańskiego malarstwa ściennego, do sztuki, która kwitła na długo, zanim z Niderlandów przywędrowały farby olejne. Fantastyka przetwarzania rzeczywistych form na kolorowe, płynne, na wpół abstrakcyjne elementy, jest fantastyką detali architektonicznych Gaudiego, równie śpiewnych i bujnych w swojej trochę amebowatej, trochę wężowatej formie. Niedokończona katedra w Barcelonie to trójwymiarowy obraz Miró.

Miró lubi graficznie precyzyjny, konkretny detal; buduje z niego na wpół abstrakcyjną całość — nie poprzestaje jednak na samym dekoracyjnym czy architektonicznym układzie form. Stwarza z obrazu żywy organizm — tańczący organizm. Jego obraz ma — bynajmniej nie ukryte — własne życie. Wprowadzając w miarę upływu lat w miejsce form realnych czyste elementy organiczne, coraz bardziej fantastyczne i syntetyczne — stwarza z nich bajkową rzeczywistość, która jest odpowiednikiem jakiejś fantastycznej „Fermy". Jego ślimaki i morskie koniki pojawiają się przetworzone w organizmy nowego świata — świata Joan Miró. Miró — mistrz choreografii — nauczył je tańca i obdarzył poczuciem humoru. Czekają teraz upozowane na gest dyrygenta, żeby kontynuować swój balet.

ŚWIAT Miró, to świat przedziwnie świeży. Miarą wielkiego talentu malarza jest to, że kontynuując przez kilkadziesiąt lat wytyczne, czytelne już w „Fermie", rozwijając tę samą zasadę — bardzo osobistą ale niezmienną — Miró nie przestał być frapujący, nie stracił ładunku świeżości. Miró to jeden z największych odkrywców formalnych współczesności. Dziś nie zdajemy już sobie sprawy — tak bardzo jesteśmy obyci z formami bliskimi Miró — jak wiele współczesne malarstwo zawdzięcza jego twórczości. Potrafił korzystać zarówno z doświadczeń Kandyńskiego, Klee i Picasa, ale niewielu jest malarzy, którzy by potrafili w takim stopniu zachować swoją indywidualność. Miró jest obiektywny; nie wypowiada się wprost ale aranżuje, jest znakomitym reżyserem. Ma przez to dużo rezerwy, która zapobiega bezpośrednim wpływom współczesnych mu malarzy. Co dziwniejsze, ten rodowity Hiszpan silnie tkwiący w tradycji, jest spowinowacony z odległymi klasykami. Czy jego świat drobnych istot nie ma coś wspólnego z Boschem? Miró unikający monumentalizmu Picassa, „malarz drobnicowy", nie posiada wprawdzie boschowskiej grozy, jego fantastyka nie jest chora, ma inny gatunek dowcipu, pozbawionego złośliwości i sarkazmu — ale coś łączy tych dwóch malarzy.

Bardzo nieszczęśliwe jest doszukiwanie się wpływów na malarzy tej miary, co Miró. Ich świat za bardzo wpływa na całe nasze życie i to jest miarą jego autentyczności. Zwłaszcza ten kolorowy, roztańczony, radosny świat wielkiego Joan Miró

Jerzy Olkiewicz

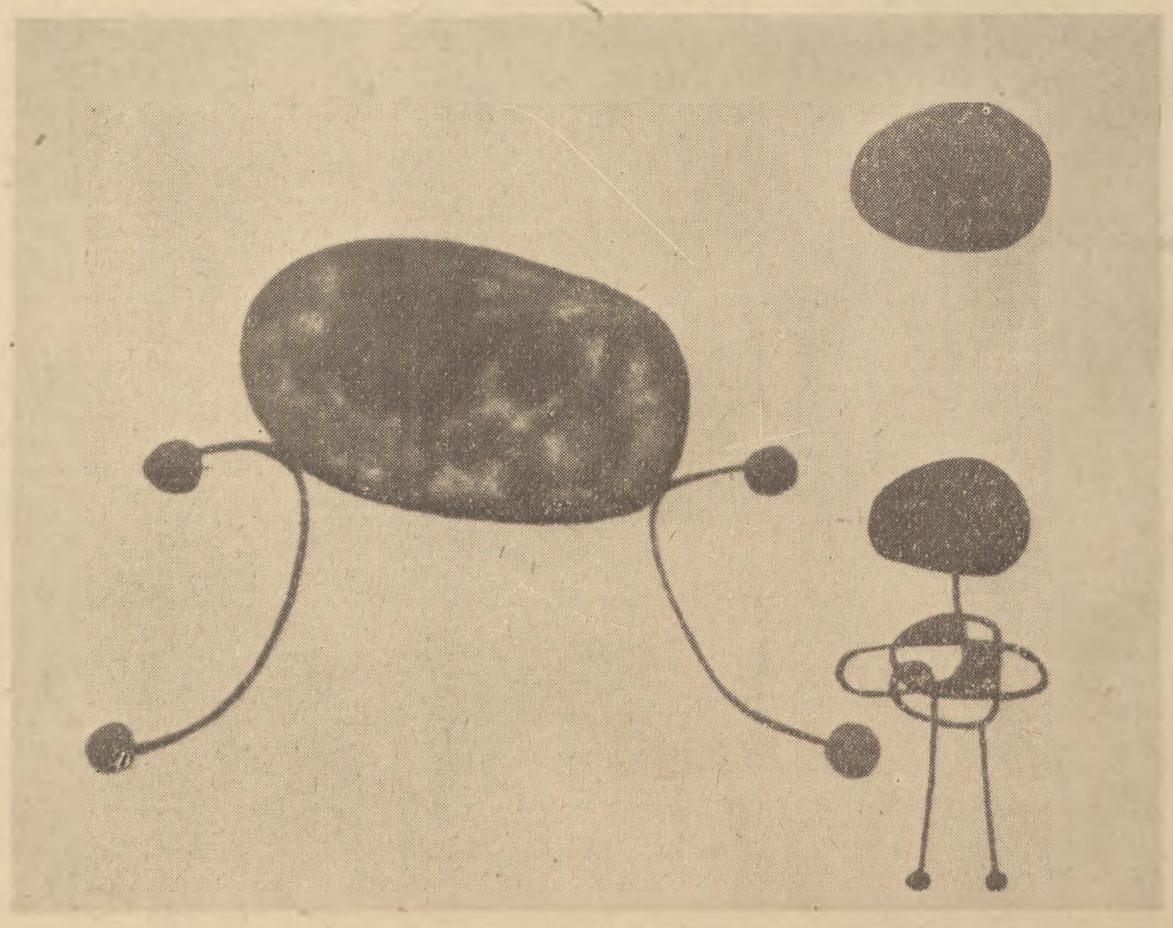

Apel gorący

BETTY Mac-Donald „Jajko i ja", Kossak-Szczuckiej „Z otchłani", Koźniewskiego „Szczotka do butów", Werfla „Pieśń o Bernadecie", Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu", Choińskiego „Tiara i korona", Fiedlera „Dywizjon 303", Morzkowskiej „Mały obywatel", Mitchell „Przeminęło z wiatrem", Londona „Córka śniegów" i wiele, wiele innych niebezpiecznych książek zostało wycofanych ze stołecznych czytelni publicznych. W ten sposob walka o czystość ideową i obyczajową warszawiaków została doprowadzona do zwycięskiego końca. Amatorom niezdrowych dreszczyków odjęto twórczość Rodziewiczówny, zamaskowani wrogowie nie będą się już krzepić Ligockim, wszystko, co trujące i mętne, od „Pamiętników" Mussoliniego do „Próby ognia" Hołuja zostało wyeliminowane, a pozostały jedynie książki prawe, zacne, krzepiące, tylko takie będziemy czytali, precz z rozpustą, wiwat prężność, my pokażemy zgniłkom!

Pewno jesteście ciekawi, komu zawdzięczamy ratunek od zagłady moralnej, kto dosięgnął wroga we wszystkich jego kryjówkach, kto podpisał listy proskrypcyjne. Ha! Nie dowiecie się. Prawdziwa cnota jest skromna. Na jednym z indeksów figuruje po prostu pieczątka Inspektoratu Szkolnego, na drugim — Oddziału Oświaty, na trzecim — Wydziału Kultury.

Więc to w imię kultury, oświaty i szkolnictwa usunięto z czytelni publicznych Merezkowskiego, Huxleya, Kiplinga i Gide'a. Nie śmiejcie się! Skłońcie raczej czoła przed niewiarygodną odwagą ludzi, którzy dla waszego i mojego dobra narazili się na miano wieczystych kołtunów. Wiedzieli przecież, że wystarczy kilka kresek na termometrze historii, by nazwano ich szkodnikami, wiedzieli — a jednak się nie ulękli. Dziś mówią, że działali na etapie, na którym zakazano Szaniawskiego, kwestionowano Galczyńskiego, nie wiedziano co począć nie tylko z Zawieyskim ale i z samym Zeromskim. Że działo się to w kontekście takich enuncjacji, jak referat Markiewicza, wygłoszony na Plenum ZLP, w którym stwierdzono, że (cytuję za nr. 3/VIII „Twórczości"): „...Na łamach tej (katolickiej, przyp. mój) prasy dokonuje się również, przy zastosowaniu bardzo liberalnych kryteriów, rehabilitacja współczesnej kultury burżuazyjnej. Uniwersalizm katolicki nie gardzi dziś ani freudyzmem, ani egzystencjalizmem, ani nadrealizmem, ani jazzem..."

Mniejsza o gerojów przetrwania. Obecny problem nie polega na tym, by mówić „a zyg-zyg marchewka", tylko by naprawić to, co jest jeszcze do naprawienia. Bo nie łudźmy się, nie wszystko można naprawić. Nieodwracalne są prawdopodobnie zmiany w umysłach generacji polonistycznej z lat 1948-52. Znam takich świeżo upieczonych magistrów, którzy naprawdę wierzą, że France był schyłkowym pisarzem a K. H. Rostworowski — przemytnikiem kapitalizmu. Wielu z nich umrze w tym mniemaniu. Ale można jeszcze ocalić tych, którzy studiują w tej chwili.

A jak ocalić? Przede wszystkim — co prędzej. Paweł Jasienica napisał tydzień temu „teraz, kiedy zlikwidowano absurdalne indeksy..."

Otóż, może tu i ówdzie zlikwidowano, ale np. nie w warszawskich czytelniach publicznych. Zapewne, że Pitigrilli może sobie spokojnie czekać na rehabilitację. Ale Huxley naprawdę nie może. Huxley stanowi kluczową pozycję dla zrozumienia pewnych zagadnień kultury europejskiej. Podobnie zresztą jak Nowaczyński — polskiej. Że mogą zaszkodzić? Mogą. Wiadra też może się urwać. Ale utrzymanie moralności poprzez nieświadomość nigdy jeszcze nie zdało egzaminu. Dziecko wierzy w bociana najwyżej do dziesięciu lat. Potem uświadomi je albo rodzina, albo ulica.

Nie wystarczy jednak wydać poufnego okólnika przywracającego wolność aresztowanym książkom. Nie wystarczy dlatego, że zostały aresztowane bezprawnie, że należy im się publiczna rekompensata. Oczywiście nie wszystkim. Mussoliniemu się nie należy. Ale Rodziewiczównie — jak najbardziej. A już bezwarunkowo — Kossak-Szczuckiej.

Casus Szczucka jest kłopotliwy. Wielka polska pisarka opuściła ojczyznę — co prawda nie szlakiem Miłosza — ale ją opuściła. Toteż na liście książek proskrybowanych zajmuje miejsce, można powiedzieć, uprzywilejowane. Opera omnia. Wśród tych „oper" jest „Pożoga", ale są i „Krzyżowcy". Nota bene, awa dzieła napisane w odstępie lat blisko dwudziestu.

Jak „dobrze myślący" Polak powinien się ustosunkować do Kossak-Szczuckiej? Pytanie jest ważne, bo typowe przy rozwiązaniu wielu analogicznych problemów. Odpowiedzi na nie dostarcza — moim zdaniem — nota z 7 numeru „Nowej Kultury", nota będąca przedrukiem fragmentu wypowiedzi Bohdana Brodzińskiego, która ukazała się na emigracji pod tytułem retorycznego pytania „Jedna czy dwie literatury polskie?" Cytuję:

„Czytelnik polski na emigracji chce książki dobrej, obojętnie, gdzie jest napisana. Newerly i J. Mackiewicz, Straszewicz i Rudnicki — mają jednakowe powodzenie u publiczności. I ci sami krajowi autorzy, którzy są poczytni na emigracji, cieszą się wielkim popytem w kraju — książki ich znikają z księgarń błyskawicznie. Przez analogię wnioskować można, że podobnie działoby się z poczytnymi na emigracji autorami emigracyjnymi. Jest to więc rzeczowy dowód jedności naszej kultury. Jaki z tego wniosek?... Nie zacieśniać się do zanikającego światka emigracyjnego, szukać kontaktu z krajem i literaturą krajową".

Wypowiedź Brodzińskiego nie jest osamotniona. Coraz więcej spotykamy podobnych po obu stronach i u nas, i u nich. Sandauer pisał w swoim „Notatniku izraelskim", że nie mamy pojęcia, jak silnie — i bezskutecznie dotychczas — łakną Izraelczycy urodzeni w Polsce, polskiej książki i polskiej gazety. Że nasza kultura miałaby tam masowego odbiorcę. Że niepojęta jest obojętność, z jaką nasze czynniki emhazetowo-dewizowe traktują tę sprawę.

Zgadzam się najzupełniej i najgoręcej z Sandauerem. Zgadzam się także z Brodzińskim. Tylko że... obu spraw nie można, niestety, rozpatrywać na tej samej płaszczyźnie. Wymiana kulturalna z Izraelem jest po prostu kwestią dewiz i tym podobnych. Wymiana kulturalna z Polonią londyńską lub paryską jest kwestią... wszystkiego innego.

Przecież wielu zaszokuje już słowo „wymiana". Bo przecież wymiana jest czymś obustronnym. To znaczy, że należałoby nie tylko eksportować naszą prasę tam, lecz jeszcze i importować ich prasę tu. Przyjąć ją z dobrodziejstwem inwentarza, atakami na ustrój, rozbijacką robotą, ewentualną kalumnią. Nie.

Zapewne, że nie. W każdym razie nie w całości. Ale przyznam, że nie o prasę chodzi mi w tej chwili. Chodzi o książkę, łatwiejszą do skontrolowania. Rzecz nadaje się chyba do dyskusji. Wypowiadam moje zdanie — jedno z wielu możliwych. Argumentuję przykładem Zofii Kossak. Wiemy, że jest dobrą Polką, znakomitą pisarką, wartościowym człowiekiem. Wiemy, że od r. 1947 wydała parę książek, prawie nieznanych u nas. Bądźmy logiczni. Jeżeli pragniemy porozumienia z emigracją, to nie możemy stosować polityki eksportu bez importu, to będziemy naiwni wołając: Czytajcie nas, poznawajcie, miłujcie, ale się nam nie pokazujcie na oczy. Emigranci mają swoje sprawy, poglądy i żale, i chcą, żeby świat o nich wiedział, w szczególności zaś my, właśnie „kraj"... Można wszystko darować, za wszystko przeprosić, o wszystkim zapomnieć z wyjątkiem — lekceważenia. To, że oni piszą, że przemawiają — także do nas, zwłaszcza do nas, a my ich nie słuchamy — jest lekceważeniem. Powinniśmy bezwarunkowo posłuchać. Powinniśmy sprowadzić książki Kossak-Szczuckiej. Tyle chciałem powiedzieć. Apeluję gorąco, by na ten temat wypowiedzieli się inni.

A wśród tych „innych" — przede wszystkim — oni.

Jerzy Stadnicki